

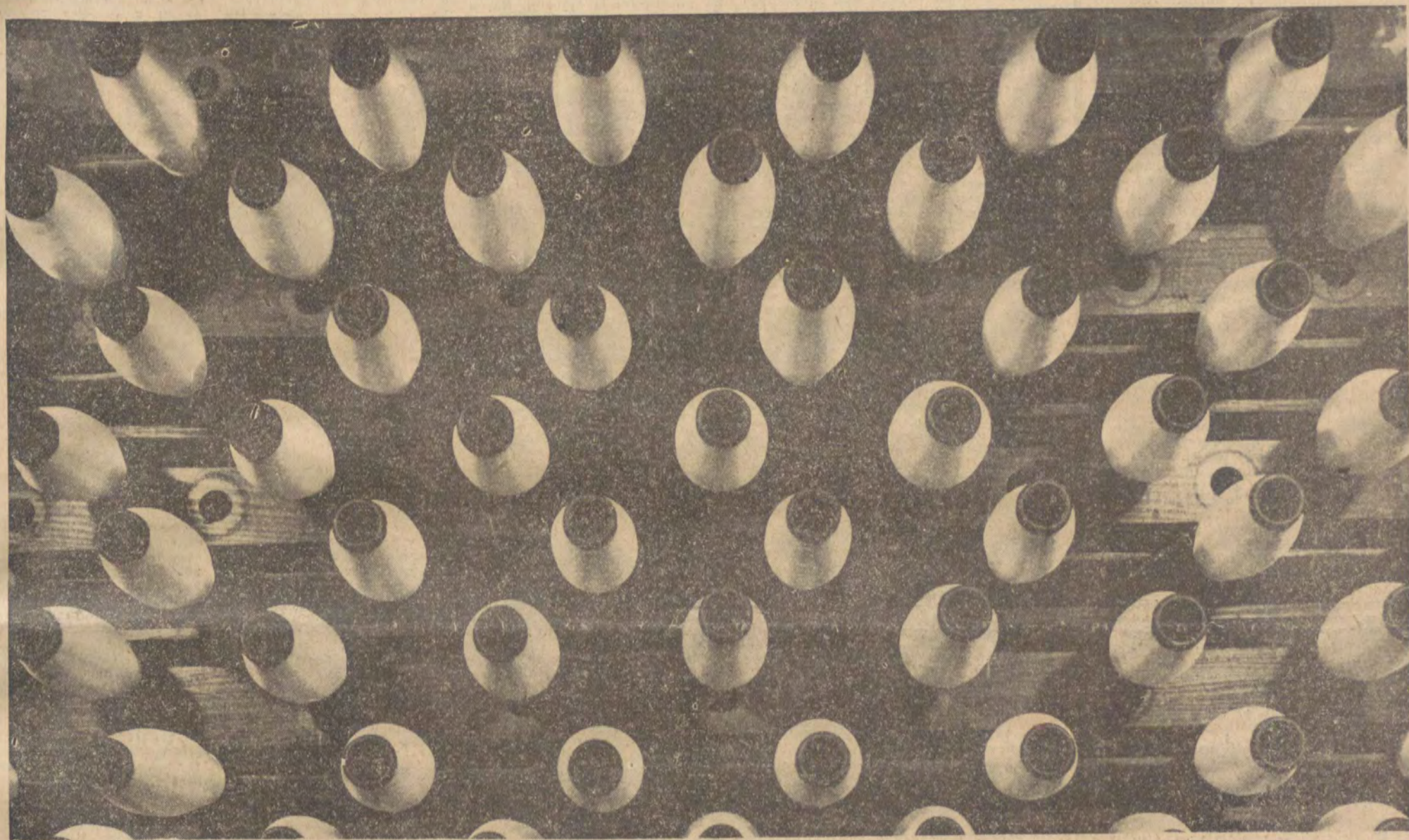
Dziś w numerze: ● Praskie notatki ● Dom wschodzącego słońca ● Wesele w Landshut ● Kraina pachnąca rybą ● Wiersze młodych ● Następcy pana Wołodyjowskiego ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

Odgłosy



Nr 2 (416)
15. I. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Fot. K. Janaszewski

SZKLANY JEDWAB Z ANILANY

Od NAKAZÓW do MIERNIKÓW

„Odgłosy“ rozmawiają z sekretarzem KŁ PZPR — Marianem Kulińskim

Nasza gospodarka przechodzi ciągle przemiany, prowadzące do udoskonalenia metod działania, zwiększenia efektywności. Ten właśnie temat podjęliśmy w rozmowie z sekretarzem KŁ PZPR — Marianem Kulińskim.

Jakie są główne kierunki przemian w naszym modelu gospodarczym w świetle Uchwały VII Plenum KC?

M. KULIŃSKI: Mówić trzeba raczej nie o przemianach w naszym modelu gospodarczym, a o dalszym usprawnieniu metod zarządzania w przedsiębiorstwie przemysłowym. To jest główny obecny kierunek działania dla osiągnięcia ogólnej wyższej efektywności naszego gospodarowania. Jest to faktycznie kontynuowanie zadań, wynikających z generalnych kierunków zmian w planowaniu i zarządzaniu przyjętych na IV Plenum Komitetu Centralnego partii. VII Plenum KC rozpatrzyło dwa podstawowe problemy, będące słabą stroną w działaniu przedsiębiorstw, a mianowicie: tendencję do nadmiernego wzrostu zatrudnienia oraz nierytmiczność produkcji.

Jednocześnie coraz lepiej i konsekwentniej przenosimy punkt ciężkości w zarzą-

daniu gospodarczym z nakazów na instrumenty ekonomicznego działania. I to tkwi również w istocie VII Plenum KC.

— Zajmijmy się więc tymi zagadnieniami — jak np. przedstawia się aktualna polityka zatrudnienia — ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji w Łodzi?

M. KULIŃSKI: Gdy mówimy o polityce zatrudnienia, myślimy równocześnie o racjonalnym wykorzystaniu zasobów siły roboczej, a więc o prawidłowej strukturze zatrudnienia w przemyśle i o rytmiczności w produkcji.

Analiza dokonana w referacie na VII Plenum KC i wynikające z niej fakty potwierdzone w dyskusji, wykazały nieuzasadniony wzrost zatrudnienia w stosunku do założeń planu, co wpływa oczywiście ujemnie na wskaźnik wzrostu wydajności pracy. W wielu przedsiębiorstwach istnieją rezerwy w stanie zatrudnienia, wynikające głównie ze złej organizacji pracy.

Jeśli chodzi o strukturę zatrudnienia, niewłaściwy jest stosunek robotników pośrednio produkcyjnych do bezpośrednio zatrudnionych przy procesach wytwarzania, niekiedy na niekorzyść tych ostatnich. Występuje też nadmierna rozbudowa służb pomocniczych. Sytuację pogarsza fakt, że prawdziwa analiza w tym względzie (zresztą nie prowadzona w większości przedsiębiorstw) niemożliwa jest wskutek braku norm obsad lub norm pracy, wskutek czego stan zatrudnienia w służbach pomocniczych ma ciągle tendencję wzrostu.

Problemy, o których mówię, dotyczą również przemysłu naszego miasta. Ileż to razy na jednym czy drugim Plenum Komitetu Łódzkiego, czy też na naradach mówiliśmy o przekraczaniu stanu zatrudnienia, o nadmiernej ilości godzin nadliczbowych, czy też o spietrzeniu produkcji w III dekadzie miesiąca czy w okresie końca kwartału.

Spójrzmy na kilka liczb:

Wykonanie produkcji towarowej w I kwartale 1966 roku w ośmiu zjednoczeniach przemysłu lekkiego w Łodzi wynosiło w stosunku do IV kwartału roku 1965 tylko 97,6 procenta, podczas gdy zatrudnienie kształtowało się w analogicznym okresie 101,6 procenta. To świadczy, że o 158 mln zł otrzymaliśmy mniej produkcji przy wyższym zatrudnieniu.

Różnorodna jest struktura zatrudnienia w poszczególnych zjednoczeniach przemysłu włókienniczego. W Zjednoczeniu Przemysłu Bawełnianego robotnicy bezpośrednio produkcyjni stanowią 73,3 proc., a w Zjednoczeniu Przemysłu Wełnianego — Pótnoc już 70,7 proc., a w Zjednoczeniu Przemysłu Przedział Czesankowych tylko 66,4 proc. Bardzo duże różnice między zjednoczeniami istnieją w poszczególnych grupach zatrudnionych przy utrzymywaniu ruchu, w transporcie, wewnątrzzakładowym, w magazynach itp.

Oczywiście, że składają się na to różnorodne czynniki — inne technologie — wielkość przedsiębiorstw.

Po to, aby potwierdzić słuszność struktury zatrudnienia wymagana jest konkretna analiza, tym bardziej — jak już wspomniałem — brak jest w tej chwili norm obsad i normowania prac pomocniczych. I to będzie dziedziną wnikliwej pracy powołanych komisji, które w przedsiębiorstwach dokonają analizy i podejmą odpowiednie wnioski.

— Jakie są nowe możliwości rozwoju przemysłu lekkiego, a specjalnie łódzkiego ośrodka przemysłowego?

M. KULIŃSKI: Uporządkowanie wielu spraw organizacji pracy, zatrudnienia, gospodarki nowych przedsiębiorstw przy szansach poważnego wzrostu obrotów handlowych ze Związkiem Radzieckim stwarza dobre perspektywy dla naszego przemysłu włókienniczego. Szanse te przemysł łódzki może już wygrzywać, organizując w I etapie warunki dla zwiększenia produkcji bez długotrwałych inwestycji.

Oczywiście rozpatrzone zostaną także możliwości dodatkowych szybko rentujących się inwestycji, zwiększających potencjał produkcyjny. Chodzi szczególnie o zwiększenie produkcji obuwia, konfekcji ubrań i dzianin. Naturalnie, że uzależnieni jesteśmy od bilansu zatrudnienia. Problemy te, jak również szczególnie modernizacja, unowocześnienie produkcji, muszą być uwzględnione w planach rekonstrukcji przemysłu. Te zagadnienia były przedmiotem obrad ostatniego Plenum KŁ, a referat i dyskusja wykazały, że sam program rekonstrukcji wymaga jeszcze dodatkowych studiów.

Trzeba spełnić jeszcze inne warunki.

Nie za dotknięciem różdżki czarodziej-skiej zmieni się organizacja pracy w naszych przedsiębiorstwach. Musi to być stały proces doskonalenia służby ekonomicznej. Ośrodki naukowe, ośrodki ekonomiki i organizacji pracy muszą lepiej niż dotychczas spełniać rolę przewodnika. Ważne jest, abyśmy mieli rozeznanie naszych niedociąg-nięć, widzieli błędy, które mogą i muszą być likwidowane w przedsiębiorstwach tak w rytmie produkcji, jak i w strukturze zatrudnienia. Musimy przejawiać także aktywną postawę o zwiększenie kadr wy-kwalifikowanych w naszym przemyśle, gwarantujących realizację coraz wyższych zadań.

Łódź posiadała na 1.000 zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej w 1964 roku 47 pracowników z wyższym wykształceniem, gdy w tym samym okresie m. Kraków — 98, m. Poznań — 77, m. Wrocław — 81, m. Warszawa — 87. Komentarz chyba nie potrzeba jeśli uprzytomnimy sobie ogromną aglomerację przemysłową w naszym mieście.

Gorzej jeszcze kształtują się proporcje między poszczególnymi gałęziami przemysłu. Tak np. w przemyśle włókienniczym w Łodzi na 1.000 zatrudnionych posiadamy 9 osób z wyższym wykształceniem (kraj — 7 osób), w przemyśle maszynowym i konstrukcji metalowej — 28 (średnia krajowa — 37), w przemyśle elektrotechnicznym — 42, (średnia krajowa — 43), w Warszawie — 43, w Poznaniu — 68, we Wrocławiu — 60.

Nie trzeba mówić, że w podstawowej gałęzi przemysłu tj. we włókiennictwie, wobec nowych zadań, jakie czekają ten przemysł (chemizacja procesów technologicznych), modernizacja maszyn i urządzeń — istnieje potrzeba coraz większej liczby wysoko kwalifikowanych kadr.

Problemy te wymagają uwagi łódzkich uczelni, stowarzyszeń NOT, Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w ściślejszym powiązaniu z przemysłem podjęcia programu, który zabezpieczyłby realizację tego zadania.

Rozmawiał:
KRZYSZTOF POGORZLEC



Już wydawało się, że tym razem będzie można rozpocząć komentarz od innych wydarzeń. Nic z tego — znów trzeba wysunąć na czoło zagrożenie Wietnamu. Pojawili się bowiem pewne nowe momenty, które i w tym tygodniu kierują uwagę na konflikt.

Chodzi tutaj o wywiad premiera DRW — Pham Van Donga, udzielony przedstawicielowi „New York Timesa” — Salisbury’emu, a następnie o przemówienie przedstawiciela DRW w Paryżu — Mai Van Bo. W jednym i drugim wypadku agencje podkreślały przede wszystkim te fragmenty wypowiedzi, które jako warunki możliwości kontaktu z USA, składowa rzeczka szuka Waszyngton, wysuwają przerwanie bombardowań terytorium północnego Wietnamu. Wtedy, jak miał powiedzieć Pham Van Dong, będzie można „mówić o innych rzeczach”.

Aby zrozumieć, dlaczego wspomniane wypowiedzi tak żywo omawiane są przez agencje, przypomnijmy, że ostatnio różni przedstawiciele administracji amerykańskiej głosili, iż gotowi są zrezygnować z pirackich rajdów samolotowych, jeśli z Hanoi otrzymają „sygnał dobrej woli”. „Sygnał” ten właśnie nadziedzi, stając się Johnsona w trudnej sytuacji. Co zrobi teraz? Zlekceważyć będzie bardzo trudno — to mogłoby być przyszłościowym gwoździem do trumny amerykańskiej polityki. Tym bardziej, że Narodowy Front Wyzwolenia Wietnamu Południowego postanowił zawiesić działania na okres od 8 do 15 lutego, a więc w czasie obchodów tamtejszego nowego roku.

W chwili, kiedy przygotowuję komentarz do druku, obserwatorzy gubią się w domysłach, jakie będzie stanowisko Waszyngtonu. Pierwsze reakcje wydają się wskazywać na duże zakłopotanie, przyby pomniejszenia znaczenia „sygnału” i... ofensywę „jaskrawej”, którzy wciąż żyją złudzeniem, że problem Wietnamu można rozstrzygnąć siłą militarną. Co zwycięży — rozsadek, czy miraż? — oto pytanie powtarzające się obecnie najczęściej. Nie przesadzając odpowiedź przynajmniej, że również U Thant początek końca wojny wietnamskiej raczej przed wszystkim z przerwaniem amerykańskich nalo-

* * *

Gdybyśmy próbowali ustalić, co prócz Wietnamu najbardziej interesuje obecnie obserwatorów politycznych, musielibyśmy powiedzieć: podróż. O jednej z zapowiedzianych na najbliższy okres — premiera Kosygina do W. Brytanii — pisałem w ub. tygodniu. Tym razem powiedzmy więc o innej — przewodniczącego Prez.

Radę Najwyższą ZSRR — Podgórnego do Włoch.

Wizyta ma nastąpić w dniach 24—31 bm. Podgórnego przybędzie do Rzymu na zaproszenie prezydenta Saragata, co uważa można za rewizję, jako że w 1960 roku przebywał w ZSRR ówczesny prezydent Włoch — Gronchi.

Interesuje ona świat polityczny głównie dlatego, że Włochy po wycofaniu się z Francji ze struktury militarnej NATO odgrywały w tym bloku dość znaczną rolę. Mnożą się także spekulacje, niczym dotychczas nie uzasadnione, o ewentualnej możliwości spotkania przewodniczącego z papieżem.

W rozdziale: wizyty odnotujemy także przewidywania co do szeregu podróży w br. prezydenta Johnsona. Niektóre koła polityczne twierdzą, że prawie pewna jest dłuższa jego podróż po Ameryce Łacińskiej oraz nie wykluczona — po Europie. Ewentualność tej drugiej każe zastanawiać się komentatorów, czy wreszcie doszłoby do spotkania prezydentów USA i Francji.

Na liście spotkań meżów stanu rejestruje się przewidywane w styczniu i lutym wizyty min. Rapackiego w Paryżu i Londynie.

Z dużą uwagą obserwowano na Zachodzie pobyt premiera Danila — Kraga w Polsce. Wyrażano zgodną opinię, że jest to nie tylko ważny etap w zacieśnianiu kontaktów polsko-skandynawskich, lecz także krok naprzód w zbliżeniu między Wschodem i Zachodem.

Podkreślmy, że premier Krag, który zawsze był zwolennikiem aktywnej polityki duńskiej, wyraził w Warszawie przekonanie, iż dialog z Polską będzie się rozwijał. „Osiągniemy — powiedział na konferencji prasowej — duży stopień zaufania i szczerości między naszymi krajami, osiągniemy lepsze wzajemne zrozumienie”.

* * *

Na naszych łamach — tak się jakoś złożyło — dawno już „nie gościła” Indonezja. Tymczasem, po tragicznych wydarzeniach z września 1965 roku, których kulisy nie zostały jeszcze w pełni ujawnione, toczy się tam ukryty pojedynek między prezydentem Sukarno i premierem Suharto. Rozgrywka trwa za kurtyną, która tylko od czasu do czasu się uchyla. Właśnie ostatnio odsłoniła się znowu. Otóż Sukarno, na którego od dłuższego czasu organizacje prawicowe i młodzież studencka wywierają presję, aby wyjaśnił swoją rolę w wydarzeniach „30 września”, zgodził się jeszcze przed nowym rokiem muzułmańskim złożyć takie wyjaśnienie. Jest to wydarzenie w szeregu innych, które prowadzi w sumie do dalszej utraty pozycji prezydenta. W ten sposób sprytny Suharto krok po kroku realizuje swój plan wyświeślenia z siodła Sukarno. Plan niełatwy do zrealizowania, zważywszy popularność prezydenta.

Oczywiście — tylko pozornie jest to rozgrywka między dwoma ludźmi, praktycznie bój toczy się między dwiema orientacjami. W tej walce obecny premier Indonezji reprezentuje politykę eksterminacji lewicy, tak zbrodniczo zapoczątkowaną przez prawicowych generałów.

W. ŚLAWSKI

Tygodnik

Premier DRW Pham Van Dong udzielił wywiadu przed stawicielowi „New York Timesa” Salisbury’emu. Na jedno z pytań korespondenta, jak długo może potrwać wojna, jeśli nie zostanie zakończona w drodze negocjacji, premier odpowiedział: „Jesteśmy przygotowani do długiej wojny, ponieważ wojna ludowa musi być długa. Nikt nie wie, jak długo ona potrwa. Pytanie to często stawiają nam obokrajowcy, ponieważ nie rozumieją nas. Pytanie dziwi nas. Ile lat? Zwykle odpowiadają, że młode pokolenie będzie walczyć lepiej niż my. Przygotowujemy się ono do tego. Tak przedstawia się sytuacja. Nie mówię tego, aby wywrzeć na kimś wrażenie. To jest fakt. Jest to logiczna konsekwencja sytuacji. Naród nasz jest bardzo dumny. Nasza historia jest historią bardzo dumnego narodu”.

W Pekinie ukazały się plakaty atakujące Mao Tse-tunga. Według informacji ze źródeł dyplomatycznych afisze te miały określać Mao Tse-tunga jako „niebezpiecznego fanatyka”.

Federalne Biuro Śledcze ogłosiło raport o wzroście liczby uchylających się przed dopełnieniem obowiązku wojskowego. W roku ubiegłym naruszyło przepisy prawne o obowiązku służby wojskowej 450 osób, w porównaniu z 262 w roku 1965.

Milovan Đilas, były wiceprezydent Jugosławii, skazany w swoim czasie na 8 lat i 8 miesięcy więzienia został zwolniony po odbyciu ponad połowy kary. W wywiadzie udzielonym agencji AFP oświadczył, iż „nie ma najmniejszego zamiaru rezygnować z udziału w życiu politycznym”. „Oczywiście — dodał — nie mam żadnego zamiaru podejmować jakiegokolwiek działania, które mogłoby spowodować konflikt między mną a rządem. Chodzi mi o znalezienie możliwości konkretnego wyrażania moich poglądów politycznych”.

Radziecki tygodnik „Literaturnaja Gazieta” publikuje treść jednej z ulotek, jakie ukazały się w Pekinie pt. „Niech żyje maoizm”. W oświadczeniu radzieckim pismo objaśnia, że chiński znak określający „niech żyje” w dosłownym brzmieniu oznacza 10 000 lat. Powtarzając ten znak w swojej gazecie hubeiński zżycza partii komunistycznej 10 000 razy 10 000 lat, czyli 100 000 000 lat, a „maoizmowi” 10 do szesnastej

potęgę lat, a więc 300 000 razy więcej niż istnieje ziemia.

W czasie ceremonii przenoszenia sztabu wojskowego NATO do Belgii zdarzył się przypadek, który zmącił nieco podniosły nastrój chwili. Aktowi wmurowania kamienia węgielnego pod wznoszonego budynku sztabu towarzyszyły różnorakie uroczystości. Po każdej z nich orkiestra radia belgijskiego wykonała „Ode do radości” Beethovena. Uczestniczący w ceremonii generał Lemnitzer — główny dowódca wojsk NATO, skojarzył „Ode do radości” z belgijskim hymnem narodowym. Każdorazowo, gdy orkiestra rozpoczynała grać słynną kantatę finalową z IX Symfonii Beethovena, Lemnitzer wyciągnął jak struna, stukając obcasami i oddawał honory, wywołując tym niemałe zamieszanie



Droga eskalacji.

(„Prawda”)

wśród pozostałych gości. Aby nie stawać głównodowodzącego w kłopotliwym położeniu wszyscy postępowali analogicznie. Tylko prasa belgijska później z przekąsem pisała, że nikt oczywiście nie może mieć za złe nikomu, jeżeli decyduje się na stosowanie takiej formy honorowania muzyki klasycznej. Jednakże wywadałoby, aby naczelny dowódca NATO znalazł jeśli już nie Beethovena, to przynajmniej melodie narodowych hymnów krajów wchodzących w skład militarnych organizacji atlantycznych.

W Paryżu zakończył obrady XVIII Zjazd Francuskiej Partii Komunistycznej.

Szef FBI Edgar Hoover oświadczył, że amerykańska

partia komunistyczna ogromnie zwiększyła swą aktywność na przestrzeni 1966 roku. Zdaniem Hoovera komuniści amerykańscy dążą do utworzenia nowej „ludowej partii”, w skład której wejdą zwolennicy walki o pokój, o prawa obywatelskie oraz niezależne ugrupowania związków zawodowych.

Pekińczy hunweibini proponują, aby obchodzić nowy rok 26 grudnia, w dzień urodzin Mao Tse-tunga. Ponadto wysunęli oni projekt zniesienia odpoczynku niedzielnego i ustanowienia wolnym dniem każdego 10 dnia, który należy nazwać „dniem Mao”.

Statystyczny raport Narodowego Banku Rezerwy Federalnej stwierdza, że wskaźniki ekonomiczne roku ubiegłego zdają się świadczyć o osłabieniu koniunktury w USA po blisko 6 latach ekspansji.

Premier Fidel Castro w przemówieniu wygłoszonym z okazji 8 rocznicy rewolucji wspominał, wzbudzając tym entuzjazm uczestników wiecu, nazwisko legendarnego

uczestnika rewolucji kubańskiej Ernesto Guevara. Imperialiści — powiedział Fidel — uśmiercili Guevara już wiele razy i w wielu miejscach, ale my oczekujemy, iż któregoś dnia tam, gdzie się najniżej tego spodziewają, major Ernesto Guevara powstanie jak Feniks z popiołów, po partyzancku waleczny i zdrowy, i że któregoś dnia znów będziemy mieli konkretne wiadomości od „Che”.

Meksykańscy — wielbiciele corrido — w panice. Grupa właścicieli aren poinformowała o możliwości zamknięcia wszystkich 23 aren kraju. Chodzi o to, że związek zawodowy pikadorów ogłosił strajk, domagając się podniesienia uposażeń z tytułu przeprowadzanych przez sieć telewizyjną transmisji. Związek powołuje się przy tym na Hiszpanię, gdzie podobna opłata została wprowadzona w życie. Do żądań tych dołączył się również związek zawodowy matadorów.

Tribune des Nations: „Stany Zjednoczone są u progu dyktatury militarnej. Johnson staje się więźniem Pentagonu. Prezydent Johnson przebywający na swoim rancho pozostaje bierny wobec wszystkich co się mówi i czyni. Spellman złorzeczy, Westmoreland grozi, a Johnson milczy. Jest on już ni- by rozbitek unoszony prądem, a jego długotrwałe milczenie po gromkich deklaracjach może być interpretowane jako milcząca zgoda na wybuchy wojnowej furii”.

Prasa zachodniemiecka informuje, że komisja do spraw polityki zagranicznej Bundestagu wystosowała na ręce przewodniczącego analogicznej komisji parlamentu czeskosłowackiego zaproszenie do odwiedzenia Bonn. Prasa wyraża przekonanie, że przewodniczący komisji parlamentu czeskosłowackiego przybędzie do Bonn na „rozmowy” co posłuży aktywizacji kontaktów między NRF a Czechosłowacją. Aktywizacja ta ma na celu utworzenie misji handlowych, a później nawiązanie stosunków dyplomatycznych”.

Zadłużenie Indonezji wobec zagranicy wynosi 1,768 tysięcy dolarów. Największym wierzycielem Indonezji jest ZSRR, którego należności wynoszą 1,4 milarda dolarów.

Koniec mężczyzny?

U schyłku roku minionego i z początkiem bieżącego zastąpił organ wojowniczy z mężczyzną sufrażystę — „Kobieta i życie”, wystąpił z całym szeregiem rewelacji na temat rodzaju męskiego i jego przyszłości. Najokólniej sprawie ujmuje — spodziewany jest koniec mężczyzny.

„Otóż my, mężczyźni, pleć słabsza, patrzymy w przyszłość nie żywiąc żadnej iluzji. W rzeczy samej na pewno weźmą nas szanowne panie jeszcze bardziej za pysk i życie stanie się nieznosniejsze — łagodzone jedynie nielegalnymi skokami na jedną głębszą”.

Jest to fragment z felietonu „Feliksa”, starego pantoflarza, którego redakcja trzyma na etacie, żeby jej felietony przeciw sobie samemu pisał. Jakoż i pisze: „dla mnie sytuacja jest jasna: my mężczyźni żadnych szans nie mamy, baby tak czy siak wezmą nas za lebę”.

Tak więc, panowie, sytuacja jest beznadziejna, koniec z nami. Koniec tym więcej pewny, że zapowiada go, niestety, mężczyzna zniewolony całkowicie, upiorny absolutnie przez czerwone sufrażystki. Nie on jeden zresztą, na łamach „Kobiety i życia” spotkać można nazwiska znanych skądinąd felietonistów płci męskiej, wysługujących się niecenie pleć żeńskiej.

Powstaje wszakże pytanie — dlaczego upadek, dlaczego koniec, za pysk? I czy na pewno?

Opanowana, jak wiadomo, przez kobiety redakcja audycji radiowej — „Muzyka i aktualność”, a także i Liga Kobiet, instytucja wyjątkowo dla nas mężczyzn groźna, opublikowały właśnie wyniki ankiety pod znamienitym tytułem — „Jaki on jest”? On, mężczyzna, nasz polski Jan Kowalski. Co odpowiedź to prawdziwa rewelacja. Dowiadujemy się przede wszystkim, że na sylwetkę współczesnego mężczyzny złożyło się wiele czynników: ekonomiczno-społecznych, politycznych, kulturalnych i biologicznych. Słusznie, że czynnik wpływający niemal na wszystko co żywe, a nawet i martwe. Okazuje się jednak, że bardzo

istotny wpływ na uformowanie mężczyzny miała jednak kobieta, jako siła kreująca nasze postawy życiowe, światopogląd domowy, prywatny i służbowy. „bardzo duży wpływ na kształtowanie osobowości mężczyzny miało spojrzenie kobiety na mężczyznę, wymogi stawiane mu przez kobietę”.

Spojrzały tedy na nas, spoglądały przez wieki i oto dzięki temu jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. A właściwie jacy?

Wypowiadające się w ankiecie kobiety można, z grubszą biorąc, podzielić na dwie kategorie. Jedne spoglądały, ale nie wiedziały, jaki on jest.

„To pytanie zadawałam setki razy w ciągu 10-letniego z nim pożycia. Dobry? Zły? Litosiwy czy bez serca? Skąpy czy rozrzutny? Pracowity czy leni? W końcu — chory czy zdrowy?”

Druga część kobiet wie doskonale jak go sobie uformowały, kim on jest. Jest bez mała demonem, despotą w domu, nie znosi sprzeciwu, tyrana. Pizystrat na trzydziestu metrach kwadratów powierzchni mieszkalnej, lubi zjeść, a że nie może pomieścić się w domu, więc skacze na boku i zazdrości, brzydko zazdrości kobiecie. „Mężczyzna zazdrości kobiecie wszystkiego: podwyżki, awansu, wytrwałości, uporu w osiągnięciu wytyczonego celu”.

I teraz już rozumiemy: patrzyły w pierwszym tysiącleciu tak i nie wyszło, popatrza w drugim siak i on odejdzie, skończy swoją niefortunną misję.

Nawiasem pragnę dodać, że pan „Feliks” basuje ile wlezie kobietom, które brały udział w ankiecie. Ależ oczywiście, mają rację, mężczyzna to okrutnik trzymający w domu kobietę żeby miała kogo pokrzyczeć i wyładować swoje złe humory. Oszczędzmy sobie cytowania, zwłaszcza, że swoista logika kobieca nie pozwala w gruncie rzeczy

tak łatwo przesądzić losu mężczyzny w drugim tysiącleciu. To ważne stwierdzenie zachowałem sobie na koniec.

Otóż wiele kobiet powiada tak: „Wydałam mi się, że zawsze lepszy jest szef — mężczyzna. Bo jest konsekwentniejszy, przedziej poradzi i pokona trudności, jakie napotka w pracy”. „Na kierowniczych stanowiskach wole jednak mężczyzn, nawet z ich wadami... są bardziej rzeczowi, obiektywni, jako realnie potrafili ocenić dobrą pracę, nlece dla dobra zakładu”.

To by nam nawet wystarczyło, reszta może się zmienić, łącznie ze zmianą płci pana „Feliksa”, pytanie jednak, czy to wszystko prawda, czy może na tego rodzaju ankietom wierzyć?

„Kobieta i życie” rozpisala właśnie ankietę pt.: „Jaka jesteś”? Kobiety mają odpowiadać m. in. na takie pytania: czy umiesz grać w karty, czy głaskanie kota sprawia ci przyjemność, czy uważasz, że w niebieskim jest ci szczególnie do twarzy, czy uważasz, że w sprawach „sercowych” jesteś pechowa, czy miewasz bóle krzyża, czy posiadasz specjalny noż do papieru..., czy umiesz wyjaśnić znaczenie słowa „erofomania”, czy lubisz słuchać sentymentalnych piosenek?”

Jeżeli i mężczyźni oceniano na podstawie równie poważnych testów to wartość poznawcza tego rodzaju ankiet będzie akurat taka sama, jak słynnej pracy habilitacyjnej pod tytułem: „O wpływie Księżyca na rozwój doróżkarstwa w perspektywie dziejowej”.

hienbajarskyid

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Praskie notatki

Złosiwa anegdota, krążąca po Europie w czasie pierwszej wojny światowej, twierdziła, że Włosi tylko po to przystąpili do wojny, żeby i Austriacy mieli kogo bić. Poza frontem włoskim armia monarchii austro-węgierskiej nie mogła jakoś nigdzie poszczycić się sukcesami, drażyły ją od wewnątrz antagonizmy narodowościowe, każda niemal kompania była zlepkiem wielo-żyznym, żołnierze nie rozumieli komendy swych oficerów, nie wiedzieli w ogóle o co chodzi.

Cesarstwo-królewski rząd zdobył się na powołanie do życia sprawnego urzędu, bez którego nie można sobie wyobrazić nowoczesnego państwa. Nie wiem jaką ten rząd nosił oficjalną nazwę. Służył w każdym razie do śledzenia i skrzętnego odnotowywania wszelkich, choćby najmniejszych oznak niezadowolenia obywateli z miłościwie panującego domu, czynił to znakomicie, informacje miał muirowane. W 1916 roku wydano nawet w Wiedniu delatorską, podjudzającą broszurę pod tytułem: „Hochverräterische Umtriebe der Tschechen im Auslande” (Zdradziecki proceder Czechów za granicą). Broszura jest pełna zdjęć zdradzców czeskich, ich szczegółowych życiorysów i opisów ich przestępstw.

Mamy w niej między innymi zdjęcie Jaroslawa Haszka, późniejszego autora przygód dzielnego wojaka Szwejka. Dowiadujemy się, jaki miał kolor oczu, włosów, gdzie się urodził, jakie zna języki (także polski) i co popełnił. Cóż więc popełnił? Oto znajdując się jako żołnierz austriacki w niewoli rosyjskiej pozwolił sobie napisać felieton pod tytułem „Opowiadanie o portrecie cesarza Franciszka Józefa” i zamieścić go w piśmie „Czechoslovak”, wydawanym w Rosji przez emigrantów czeskich. Felieton obrażał majestat cesarza, stanowił więc zdradę główną — Hochverrat.

Exemplarz broszury, o której mowa, leży za szkłem w praskim Muzeum Narodowym, sprzed którego tak pięknie wieczorem spogląda się na oświetlony, leżący w dole Wacławski Rynek. Niedaleko stąd można się napić piwa w starym lokalu „U Kalicha”, u tego samego Kalicha, gdzie siadywał dzielny wojak Szwejk i gdzie dopuścił się obrazy majestatu uważając, że na portret najjaśniejszego pana muchy są... I nawet portret wisi, cały w kropki, chociaż przewodnik mówi, że to już inny portret i inne muchy. Być może, że felieton w emigranckim piśmie stał się niejako szkłem roboczym do owej sławnej sceny ze Szwejkiem. Reakcja władz w obu wypadkach była przecież identyczna!

Nie zmienia się też — jak zapewniają prospekty — od siedemnastego wieku „flekowe pivo” w nastrojowej knajpie „U Fieku”. Siedzi się tam w pięknie sklepionych, gotyckich izbach, przy długich stołach — wszyscy razem: murarze po pracy, Amerykanie, studenci, Murzyni, grubbi pracy piwoś — i z ogromnych kufli popija czarne jak smoła, gorzkie, trzynastoprocentowe piwko, zagryzając chrupkami grzankami z chleba z czosnkiem.

Szczęśliwe miasto. Od 1757 roku, kiedy obległ Pragę bezskutecznie i ostrzeliwał przez trzy tygodnie Fryderyk Wielki, nie było tu większych zniszczeń. Powstanie w maju 1945 roku nie pociągnęło za sobą ruin i pożarów, trwało krótko, miasto zostało zdobyte szybkim uderzeniem Czerwonej Armii. Nietknięte stoją przepiękne uliczki Starego Miasta, liczne stare kościoły i kamienice.

Część starego miasta była niegdyś gettem, stanowiącym coś w rodzaju Bolonii czy Salamanki dla europejskich Żydów. Pozostało po tym getcie pięć synagog — w czym jedna, utrzymana w pięknym gotyckim stylu, aż z połowy XIII w. — i prastary cmentarzki wciśnięty dziś pomiędzy wielkie, czynszowe domy. Są ponoć źródła, według których cmentarz ten czynny był już w szóstym wieku, najstarszy zachowany nagrobek pochodzi z początków piętnastego, najnowszy — z 1787 roku. Teren najczystszy tu jest gęsto nagrobkami, kamień przy kamieniu, bo żadnych możliwości rozrostu nie było, a ludzie umierali, chowano więc ich warstwami, w niektórych miejscach znajduje się dziś dwanaście pokładów zwłok! I wciąż jeszcze na grobie rabiego Lwa, zmarłego przed czterystu laty, pięknymi składają pod kamień karteczki z wypisanym życzeniem, które rabbi spełnia lub nie, i wciąż na wielu nagrobkach leżą setki malutkich kamyczków, które kładzie się w dowód strzelistego aktu pamięci o zmarłych zamiast wienków i świeczek.

Wszystkie synagogi zamieniono na muzea kultury żydowskiej, w jednej znajdującej się właśnie w remoncie, odprawiają się nabożeństwa dla dwutysięcznej zalewej grupy Żydów praskich, ocalałych, po cichmanowskich akciach. Ponad dwa tysiące rytualnych zastaw, złotych bogato złotych i haftem kunsztownym, ściągnięto z całych Czech do „synagogi hiszpańskiej”.

tych oryginalnej, że wykończonych w najdrobniejszych szczegółach na wzór muretańskich wnętrz, z abstrakcyjnymi freskami na ścianach i sklepieniach, z rzędami smukłych, kolorowych kolumn, z kolorową posadzką. Inne wnętrza zamieniono na mauzoleum pamięci po wiernych, wymordowanych przez hitlerizm. Siedemdziesiąt sześć tysięcy nazwisk wykalkulowano na ścianach, niestety, tylko farba na zwyczajnym wapiennym tynku, nazwiska zacierają się już i wykruszają. Pośrodku, pod pamiątkową tablicą, wieńce: jeden od Szwejcarów, reszta od Niemców...

Szczęśliwe miasto: polegali mają tu nazwiska. Na ulicy spotkasz tu i ówdzie wmurowaną w ścianę domu dłoń z brązu, złożoną jak do przysięgi, i napis: „Nie zapomnimy!” To znak, że w tym miejscu nad powstaniec. Jest tu jego nazwisko a czasem nawet zdjęcie. Przed ratuszem na Starym Rynku wmontowano w bruk dwadzieścia siedem płyt z nazwiskami: tyłu było przywódców powstania przeciw cesarzowi Ferdynandowi II, ścieżkach w tym miejscu w 1621 roku. O każdej porze dnia spotkasz tutaj turystów z aparatami fotograficznymi, wycelowanymi w wielki zegar na ścianie ratusza. Niestety, nie zobaczysz dwunastu apostołów, pokazujących się co godzinę w okienku nad zegarem, ani śmierci, która obok obraca klepsydrę i potrzasa dzwonekiem, ani piejącego i machającego skrzydłami koguta. Cała sztuczka, bawina prażan od setek lat, znajduje się właśnie w remoncie.

Do niedawna stała obok ratusza figura pokonanego rycerza. Zabrano ją jednak, bo nasuwała łatwe a niemile skojarzenia kandydatom do stanu małżeńskiego, którzy tu właśnie przychodzą zawierać cywilny ślub. Rzućmy więc okiem na posępny pomnik Husa, stojącego pośród licznych alegorycznych postaci i na dom, w którym według nie dość sprawdzonych źródeł uro-

dził się z matką Czechki nasz książę Józef Poniatowski. Odchodzimy w płataninę wąskich uliczek. Mamy jeszcze sporo do obejrzenia w nadwielkowskim grodzie, a jeszcze i po wystawach sklepowych popatrzeć — też sposobem poznawania miasta, kraju, ludzi i ich przyzwyczajęń.

Każde bez wyjątku miasto na świecie ma jakiś swój wyróżnik, jakiś fragment uznany powszechnie za symbol, choć z założenia wcale nim być nie miał. O Warszawie wiedzą wszyscy cudzoziemcy, że są tu Łazienki i kolumna Zygmunta, O Berlinie — że Brama Brandenburska, O Brukseli — że Maneken Pis, O Pradze — że Hradczyny i Most Karola.

Zbudowano ten most w dzisiejszej jego postaci na przełomie XIV i XV wieku, w dwadzieścia lat później stanęło na nim trzydzieści kamiennych posągów. Na tym moście rozegrała się krwawa bitwa ze Szwedami, dokładnie w tym samym czasie, gdy z tym samym przeciwnikiem borykał się w Czeszochowie książę Kordecki i buńczuczny pan Kmicie. Z tego też mostu strącono do Wławy na rozkaz cesarza pewnego mnicha, spowiednika cesarzowej, który nie chciał zdradzić tajemnicy spowiedzi i nie powtórzył podejrzliwemu władcy tego, co usłyszał od jego żony. Mnich został za to męczennikiem i leży w bogatym, srebrnym grobowcu, jako święty Jan Nepomucen, w katedrze świętego Wita na Hradczynie. Za jego dyskrekcją — powiada przewodnik — lubia go szczególnie kobiety i zawsze u stóp świętego znajdziesz parę kwiatków. Być może zrzęta — dodaje tenże przewodnik — że kwiaty przynosi kościelny.

Obok świętego Nepomucena leży drugi wielki, a dobrze nam znany święty Wojciech. Jest to jeden z tych wielkich ludzi, którzy mają więcej niż jeden grób. Użyliśmy się przecież, że grób świętego Wojciecha znajduje się w Gnieźnie. Miejscowa praska opinia twierdzi jednak, że w cza-

się najazdu Brzetysława na Polskę w 1039 roku zdobywcy czeszy zabrali zwłoki swego rodaka z Gniezna i przenieśli na Małą Stranę. Jak było naprawdę — nie wiadomo. Być może, że relikwie podzielono i znajdują się w obu katedrach.

Obok katedry Notre Dame w Paryżu można uznać praską katedrę świętego Wita za jeden z najdłuższych budowanych gmachów na świecie. Ufundował ją Karol IV, z okazji podniesienia biskupstwa praskiego do godności arcybiskupstwa, w czternastym wieku. Po pięćdziesięciu latach gotowa była gotycka część prezbiterialna, która następnie od frontu zamknięto prostą ścianą i zaniechano dalszych prac na całych pięćset lat. Ołbrzymie nawy wiatłowej katedry powstały dopiero w naszym stuleciu. Przez tych pięćset lat władający Czechami Habsburgowie woleli rozbudowywać swój Wiedeń, na Pragę szkoda było pieniędzy.

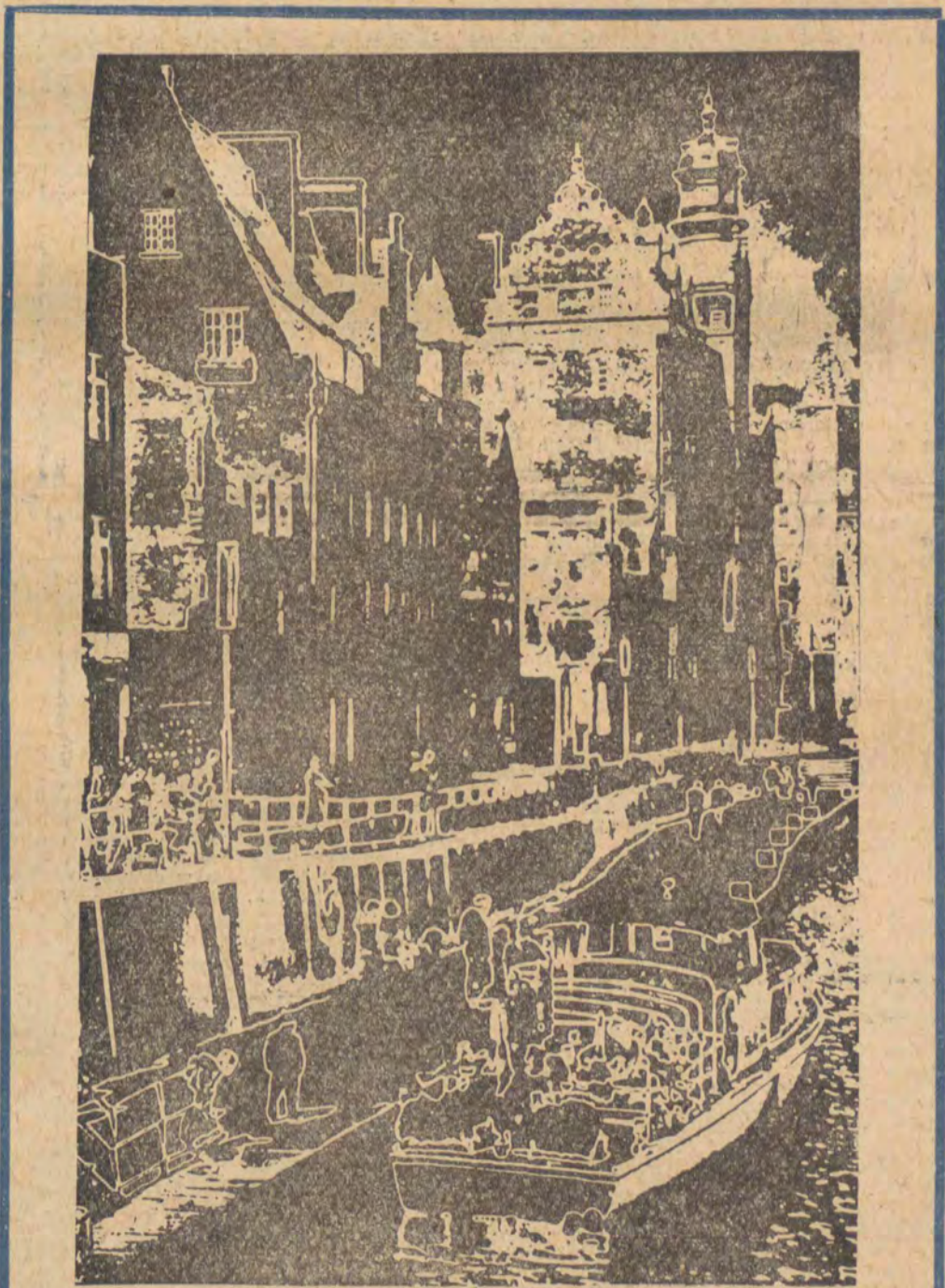
Piękny jest Hradczyny, zamek książąt i królów czeskich, chociaż bardziej surowy wewnątrz, jakoś mniej „urządzony” niż nasz Wawel. Dawna sala turniejowa pustą zupełnie, zimno przejmując tu człowieka do szpiku. Nie ma śladu po galeriach, z których piękne damy obserwowały rycerskie igrzyski. Do sali wjeżdżało się konno po specjalnych schodach, schodzimy nimi piechotą, żeby zejść na niedaleką Złotą Uliczkę. Fantastyczna! Biegła ona wzdłuż murów obronnych zamku, za murem kilkunastumetrowa przepaść, przed murem — przylutony do niej rząd domków jak na Disneyowskim filmie. Domków — zabawek: maleńkie drzwi, mikroskopijne okienko od ulicy — proszę, można wejść do środka, teraz już nikt tam nie mieszka. Wnętrze liczy może osiem, może dziewięć metrów kwadratowych. Ma jeszcze drugie okienko — w murze — na tamtą przepaść. W tych izdebkach mieszkali za cesarza Rudolfa alchemicy. Później strażnicy i woźni zamkowi. Później aż do najnowszych czasów — zwyczajna miejska biedota. Teraz pomalowano je jak dekorację do Czerwonego Kapturka i zamieniono na obiekty do zwiedzania. Śmieszna, sztuczna, stara Złota Uliczka.

Jest godzina szesnasta. Jak co godzinę — dzwonniki klasztoru kapucynów zaczynają wydzwaniać pieśń na cześć Matki Boskiej. W byłym klasztorze pomieszczono skarbiec, zawierający między innymi nieocenionej wartości kielichy, monstrancje, szaty liturgiczne. Najcenniejsza jest ponoć monstrancja, w którą wmontowano kilka tysięcy diamentów, zdobitych przedtem ślubną suknią pewnej księżniczki. Księżniczka była niemłoda, po pięćdziesiątce, wychodziła za mąż już trzeci raz, diamentami pokryła być może w oczach oblubienca niedostatki swej młodości i urody. Jej portret wisi w krużganku, diamenty blyszczą pięknie w złotych ramach za szkła muzealnej gabloty. Na dziedzińcu klasztoru zbudowano w 1628 roku wierna kopię Santa Casa w Loreto, czyli kaplicy loretańskiej. Tak wierna, że zachowano nawet pęknięcie w murze od pioruna, a freski wewnątrz odtworzono tylko w tych fragmentach, w jakich ówczesnie zachowały się w Loreto. A więc kawałek nogi, potem długo nagi mur, potem głowa, ale już innej postaci — i tak dalej. Takim sposobem pobożni kapucyni, zakon dziś już od dawna w Czechosłowacji nie istniejący, usiłowali stworzyć sobie wizję świętego miejsca i pielgrzymować do Loreto, nie ruszając się z Pragi.

Gdy niezwykły cesarz Napoleon zaszczycał swą obecnością biedniutką Warszawę, znajdował się w jego orszaku niejaki baron Denon, dyrektor paryskiego muzeum, mający za zadanie zbierać po całym — podbitym przez cesarza — świecie dzieła sztuki. Nie omieszkał też wywieźć z warszawskiej katedry cennego obrazu Palmy i wielu innych dzieł z innych miast. W tym samym mniej więcej czasie bawiła w Pradze żona Bonapartego, cesarzowa Maria Ludwika. Nie tylko nie nie wywozła, ale dla upamiętnienia swej wizyty w Bibliotece Strachowskiej, podarowała jej kunsztowne rzeźbioną, artystyczną gablotę, zawierającą sześćciotomowe dzieło botaniczne i czterotomowy katalog muzeów paryskich. Te ogromne, luksusowo oprawne tomiska stanowią jeszcze jedną ozdobę biblioteki, zasobnej w tysiące prawdziwych białych kraków. Chodzi się pomiędzy nimi z lekkim szumem w głowie. Wysokie są wiele pięter sale mają całe ściany od góry do dołu zabudowane księgami. Jakimi księgami! Same pergaminy, rękopisy, cymelia sedziwe, uczone rozprawy, w wielu językach, imponujące samymi rozmiarami — co za ogrom ludzkiej pracy i ambicji! Nawet nie próbuję śledzić wywodów przewodnika, objaśniającego olbrzymi plafon, pokrywający sklepienie sali filozoficznej. Pokazuje zebrany Arystotelesa i Tycho de Brahe, Diogenesa i Krezusa — wole jednak podejść bliżej do półek. Sama biblioteczka rozkosz. Cztery tomy — po metrze chyba każdy — Theinera „Monumenta Historiae Poloniae”, jakaś osiemnastowieczna „Description d’Egypte” — idziemy dalej. Dobrze, że idziemy. Od patrzenia na tyle ksiąg naraz dostaje się zawroty głowy zupełnie jak od patrzenia na gwiazdy. Jedne i drugie — nie do objęcia.

Wieczór już, ale bez gwiazd. Przez most Legii, obok Narodniego Divadla, wchodzimy w samo centrum miasta. Na Prąkowce i na Wacławskim setki neonów, tłumy prażan promienią wzdłuż jaskrawo oświetlonych, pełnych towaru, kolorowych witryn. W zatoczonych ślepiach zmęczone do ostatka strzedawczynie uśmiechają się tak samo jak rano, z plakatu na murze, przedstawiającego pijaka pod latarnią, poucza nas hasło: „Ulice se stidi za takove lid”. Ale nie ma się czego wstydić praska ulica. Takowych pijanych ludzi tu nie widać. Są spokojni, życzliwi, nie śpieszą się, pójda na piwo, na zmrzlinę, na jogurtowe mleko, pos’edza, pogadają.

Bardzo mi się to podoba. Zobaczcie Pragę.

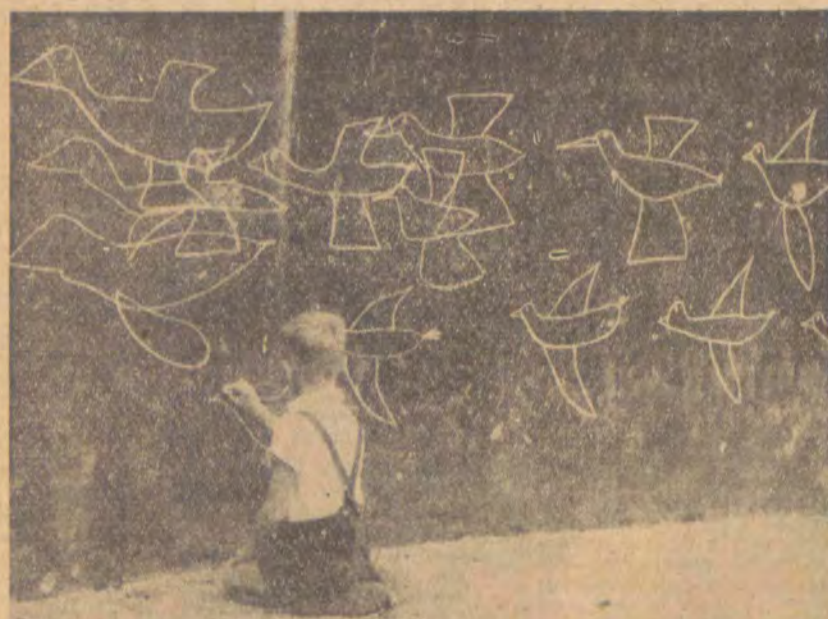


Kazimierz Janaszewski

„Gdańsk”

W ramach festiwalu kulturalnego zw. zaw. zorganizowanego z racji obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego urządzona została w salonie Towarzystwa Fotograficznego wystawa prac fotografików-amatorów zrzeszonych w klubach związkowych placówek kulturalnych na terenie Łodzi i województwa. W wyniku eliminacji wyselekcjonowany został zestaw fotografii, dających ogólnie pojęcie o zainteresowaniach, sposobie widzenia świata i umiejętnościach technicznych amatorów. Poziom wystawy siła rzeczy jest niejednorodna: od zdjęć wskazujących na dużą wrażliwość autora, na umiejętność zobaczenia rzeczy w inny, niesztandardowy, indywidualny sposób, pod innym niejakim kątem i w innym wymiarze, do zdjęć banalnych, gdzieś ze ściennej gazetki czy rodzinnego albumu. To samo z poziomem technicznym — wala się od ambitnych prób eksperymentatorskich (nie bardzo zresztą udanych), poprzez poprawność, po zwykłą nieudolność. Ta nieudolność jest zrozumiała i o to nie można mieć pretensji. O wiele ciekawszym momentem na tej wystawie jest strona tematyczna. Wachlarz zainteresowań fotografujących obejmuje przede wszystkim najbliższe otoczenie, sprawy dnia codziennego, to wszystko z czym spotykają się na co dzień. Nie ma, i dobrze że nie ma, tego poszukiwania tematu „na siłę”, tematu udziwnionego, taniej inności i wszelka cene. Własne zobaczenie rzeczy codziennych wydaje się być mottem ich fotograficznych poczynań.

A. G.



TADEUSZ W. SZKLAREK

Dom WSCHODZA CEGO słońca

Heniek, lat szesnaście — włamanie i kradzież; Grześ, lat czternaście — gwałt na młodszej o rok dziewczynie; Jędrak, lat piętnaście i Kazek, lat trzynaście — ucieczki z domu, drobne kradzieże, włóczęgostwo; Maniek, lat piętnaście — przynosił alkohol do szkoły, upijał się i demoralizował młodzież; Zbyszek, lat siedemnaście, Wojtek jego rówieśnik i inni kumple, którzy z racji swego wieku odpowiadali przed sądem dla dorosłych — kradli auta, dokonywali gwałtów, spowodowali śmiertelny wypadek; ciężkie pobić, usiłowanie zabójstwa, chuligaństwo, znęcanie się nad słabszymi, szantaże itd. itd.

Być może pomyliłem te imiona oraz rodzaje przestępstw. Może to nie Grześ gwałcił o rok młodszą od siebie dziewczynkę, a nie Heniek dokonywał włamań. Nie zaglądałem do akt i nie pypytywałem tych chłopców o przeszłość każdego

złif się ze mną swymi uwagami. — Widzi pan — zaczął dyrektor — zakład nasz nie ma właściwie tradycji. Jest w porównaniu z innymi bardzo młody. Powstał za ledwie kilka lat temu, w październiku 1964 roku.

Rozmowa przeciągnęła się do kilku godzin. Później zaproponował zwiedzenie Zakładu.

* * *

Samy chłopcy. Granice wieku 13-21 lat. Wywodzą się z różnych rodzin i z różnych środowisk. Jest ich stu pięćdziesięciu ośmiu. Jutro, pojutrze może być więcej. Ilość miejsc przeznaczonych dla wychowanków wynosi sto siedemdziesiąt jeden. I choć wychowawcy przygotowani są na powitanie w każdej chwili kogoś „nowego”, to jednak przede wszystkim myślą o budzących nadzieję pożegnaniach. Taki jest sens pracy wychowawców, taka jest ich odpowiedzialność, aby przekazali społeczeństwu człowieka. Człowieka, na którego można liczyć. Aby wpolił w niego umiejętność okazywania dobrej woli. Nie są więc i nie mogą być w swej pracy osamotnieni.

Zakład składa się z dwóch części: z zakładu właściwego oraz z tzw. „schroniska”. W pierwszej przeznaczone miejsca dla tych, w stosunku do których sąd orzekł już karę „poprawczaka”, w drugiej zaś znajdują się bądź ci, których niedawno przyłapano na gorącym uczynku i czekają na rozprawę, bądź też tacy, którzy po śledztwie, czekają na umieszczenie w odpowiednim zakładzie. Nie wszyscy bo wiem ze „schroniska” trafiają do Zakładu w Ignacowie. Jeśli na przykład okaże się, że chłopcy ze „schroniska” predysponowani są do zawodu ślusarza lub stolarza, pozostają w Ignacowie gdzie właśnie otrzymają odpowiednie warsztaty. Tu pod okiem instruktorów zdobywać będą dyplomy robotników wykwalifikowanych. Zakład w Ignacowie planuje ponadto zorganizowanie kursu spawaczy elektrycznych.

Po ukończeniu szkoły podstawowej chłopcy kontynuują naukę w zasadniczej szkole typu zawodowego. Realizuje się w niej trzyletni program w przedziale okresu dwuletniego. Trzy dni w tygodniu nauka teoretyczna, trzy dni warsztaty.

Dzień rozpoczynają o szóstej. Gimnastyka, toaleta, śniadanie, szkoła, warsztaty. Praca w warsztatach od siódmej trzydziestej do piętnastej trzydziestej. Potem obiad, chwila odpoczynku i zajęcia wychowawczo-rekreacyjne. Wszystko pod okiem wychowawców. Dzień kończy o dwudziestej pierwszej trzydziestej, od której następuje surowo przestrzegana cisza nocna.

* * *

Podzieleni na grupy (cztery w zakładzie właściwym po dwudziestu dziewcząt w każdej, dwie po dwadzieścia w jednym „schronisku”) są

mi wykonują prawie wszystkie prace. Od sprzątanía począwszy na produkcji skończywszy, z wyjątkiem oczywiście takich zajęć, jak na przykład przyrządzanie posiłków. Zarabiają. Pieniądże idą na książeczkę PKO.

Nie są zamknięci. W szerszym tego słowa znaczeniu nie izoluje się ich od świata zewnętrznego. To do brze. Dobrze, że mogą być wizytowani przez swych rodziców, że mogą zasłużyć na korzystanie z przepustek. Gorzej natomiast, jeśli odwołujący się w niedziele i święta niektórzy rodzice nieważą trud wychowawców. Jeśli przywożą ze sobą alkohol, jeśli sami przyjeżdżają po jednym lub więcej kieliszkach, jeśli usiłują dostarczyć swym synom trochę grosza, przemycić karty. Objawiają się w ten sposób „miłość” rodzicielska jest sprzeczna nie tylko z obowiązującymi przepisami, lecz również — i przede wszystkim — z dobrem swych dzieci.

Czasami te „dary” trafiają w ręce opiekuna. Nierzadko się zdarza, iż przynoszą je chłopcy. Wszak nie wszyscy są jednacy, nie wszyscy ulegają pokusie. Oto przykłady: ktoś z wychowanków otrzymuje paczkę żywnościową. Pośród wiktuałów misternie wypieczone bułeczki. W każdej bułeczce dziesięciocentowa moneta. Właściciel paczki z całą świadomością pokazuje to wychowawcy. Innemu chłopcu rodzinka dostarczyła wódkę w buteleczce po oranżadzie. Nie chcąc ukrywać tego przed kolegami, postanowił wspólnie z nimi zasiegnąć rady u wychowawcy, co z tym niecym trunekiem począć. Nie sposób w takich sytuacjach wyrazić radość i satysfakcję wychowawców.

W tym Domu przyjęto zasadę zaufania i rozumienia potrzeb. Nacelnym elementem wychowawczym jest nagroda. Wychowuje się poprzez pracę, naukę, rozrywkę. W warsztatach nie ma nauki dla nauki. Chłopcy produkują i w procesie produkcji uczą się zawodu. W szkole ocenia się nie tylko ze względu na stopień opanowania wiedzy. Ocena jest także wysiłkiem przy jej zdobywaniu.

Jednakże zasada zaufania implikuje pewne ryzyko. Dyrektor nigdy nie może dać głowy za to, że jeśli wysłane bez opieki wychowawcy kilku chłopców do Łodzi po jakieś zakupy, to chłopcy ci z całą pewnością powrócą. Nie może w pełni przewidzieć skutków nagradzania przepustką. Ale w większości nagroda i zaufanie działają bardziej mobilizująco i wychowawczo niż kara.

Największą nagrodą dla wychowanka jest przedterminowe, warunkowe zwolnienie. By je uzyskać, musi być posłuszny, obowiązkowy. Więcej — musi tak postępować, aby postępowanie jego stało się wzorem godnym naśladowania. A nie jest to tutaj takie proste.

Wychowankowie żyją w Zakładzie życiem zorganizowanym. Są współodpowiedzialni za prawidłowe, normalne funkcjonowanie form inte-

grujących. Nad całością panują wychowawcy. Najwięcej kłopotów sprawia im jednak tzw. „drugie życie” — pilnie strzeżone milczeniem i tajemnicą. O jego istnieniu wiedzą wszyscy, choć dostęp doń mają nieliczni. Problemy wychowawcze polegają tu głównie na maksymalnym wyeliminowaniu owego „drugiego życia” w tym sensie, aby nie stało się wśród chłopców zjawiskiem powszechnym.

Sfera „drugiego życia” przypomina konspiracyjne podziemie. Tu się planuje ucieczki pojedyncze i grupowe. Tu obmyśla się sposoby „stawiania okoniem” przepisom, zarządzeniom, wychowawcom. Tu ponadto załatwia się osobiste porachunki. Żyjący „drugim życiem” mają swych przywódców, którzy czasami dyktują warunki sposobu bycia. Są tak sprytni, że w sytuacjach konfliktowych, kiedy trzeba nagle zająć określone stanowisko, porozumiewają się błyskawicznie, jednoznacznie. Mają zresztą doskonale opanowany kod przekazywania informacji.

Wychowawcy usiłują pozyskać takiego przywódcę i przez niego docierać do „drugiego życia”. Jest to oczywiście sprawa niesłychanie skomplikowana.

* * *

Wychowankowie, którzy opuszczają Zakład są — jeśli osiągnęli pełną letność — pełnoprawnymi członkami społeczeństwa. Miarę dalszego ich życia wyznacza poczucie odpowiedzialności. Prawo nie nazwie przestępstwem popełnionych przez nich czynów, jeśli wezmą do serca nauki wyniesione z Zakładu. Będzie to również najwyższa nagroda dla wychowawców, którzy dają im tę szansę.

Drzwi otwierał mi ten sam chłopak co wówczas, kiedy wchodziłem. Teraz nie mógł dać sobie rady z zamkiem. — Niech pan spróbuje — zaproponował. Jakoś z przyzwyczajenia chwyciłem wpięty w kłamek. Drzwi były otwarte. Uśmiechnął się.

Jest jednym z tych, którzy przedtem, nim tu trafili, spowodowali bunt. Bunt manifestujący się w ich wieku aktywną negacją norm i wartości. Zwiędzeni emocją i fantazją, wrażliwi na bodźce tajemniczego dlań świata, chcieli rzeczywistość zdobyć na siłę, od razu. Trudno powiedzieć, czy w każdym przypadku mieli świadomość dokonywanych przestępstw. Chcieli się jak najszybciej wyzwolić. Być wolnym oznaczało dla niektórych: być dorosłym. Jedni widzieli, inni nie, że być dorosłym to nie tylko mieć większą możliwość wyboru. Przekonują się teraz, może nazbyt dosłownie, że za dokonanie wyboru trzeba odpowiadać. Tu właśnie uczą się odpowiedzialności kształtującej dorosłych. Uczą się rozumnego życia i racjonalnego gospodarowania własnymi możliwościami. Wszakże społeczeństwo oczekuje od nich uczciwości. Ufa im.

Nim jednak trafili tutaj, czy zrobiono wszystko, aby uwrażliwić ich serca oraz umysły na dobro i zło?

MICHAŁ KUNA

Wesele w Landshut

Późną jesienią 1474 roku wracał z Węgier do kraju Kazimierz Jagiellończyk. W Łęczycy podejmował poselstwo z dalekiej Bawarii, które w imieniu księcia Ludwika Bawarskiego prosiło o rękę córki Jadwigi, dla jego syna Jerzego, przyszłego dziedzica tronu w Landshut. Zmiana w szczęście polityka dynastyczna Kazimierza Jagiellończyka nakazywała rozagę i powolność działania. Pogromca Krzyżaków, władca potężnego państwa, zaprosił poselstwo do Radomia jako że zbliżał się czas świąt Bożego Narodzenia.

Wśród wystanników do Polski znajdowali się wysocy dostojnicy państwowi w osobach biskupa Ratyzbony ienryka, grafa Fryderyka von Hofensteina i doktora obojga praw Fryderyka Mauerkirchera. Mimo, że Jadwiga była przyrzeczona jeszcze jako dziecko Maciejowi Korwinowi, władcy na Węgrzech, król przeznaczył ją księciu bawarskiemu, jako że z Węgrami stosunki stały się wyraźnie złe. Dwudziestoletni jednak dołnobawarskiej linii Wittelsbachów miał otrzymać w posagu 32 tys. złotych guldénów, płatnych w ciągu 5 lat. W obecności polskich dostojników podpisano kontrakt ślubny 31 grudnia 1474 r., po czym Kazimierz udał się w dalszą podróż na Litwę. Jadwiga miała według planów królewskich być zaślubiona w dzień św. Michała, tj. 29. IX. 1475 roku. Przygotowania do wyprawy weselnej były skrupulatnie opracowane i jeśli wierzyć Długoszowi kosztowały wraz z wyposażeniem 18-letniej

Jadwigi 100 tys. guldénów. Orszak opuścił Kraków w towarzysztwie pary królewskiej i dostojnej świty udając się przez Miechów — Piotrków — Pabianice do Poznania. Tam zastano już wysłańców z Landshut skarżących się na zbyt powolną podróż.

Dalszą drogę odbyła Jadwiga w towarzystwie licznego orszaku liczącego 1200 koni. Wśród dostojników polskiego dworu znajdowali się tacy wybitni mężowie jak: Stanisław z Ostrogora wojewoda kaliski, Mikołaj z Kutna wojewoda łęczycki, Dobiesław z Kurozwiek „Lubelezyk”, Wojciech Moniwid namiestnik nowogrodzki i wielu innych. Pociągnięto przez Frankfurt nad Odrą, Berlin do Wittenberga, gdzie naprzeciw polskim gościom wysłanicy wysłannicy Jerzego i już do samego Landshut oni prowadzili orszak. Dopiero 14 listopada 1475 r., okrutną drogą, omijając szalejącą zarazę, dotarli wspaniali pochód do Moosburgu w bezpośrednim sąsiedztwie Landshut. Wyznaczony na dzień 12 listopada obrządek zaślubin był nieco spóźniony i na zamku Trausnitz goście weselni byli już w komplecie. Przygotowania do królewskiego wesela były wyjątkowo wystawne i jak się później okazało, wesele przeszło do historii jako jedno z najwspanialszych, jakie nam kroniki ówczesne przekazały. Jadwiga ubrana w bogatą suknię ze złotogłowu jechała w złocistej karocy, która spoczywała na złotych lwach trzymających tarcze z herbami Korony i Litwy. Ośiem białych rumaków w czerwonej uprzęży ciągnęło pojazd. W bramach Landshut witał Jadwigę Cesarz Fryderyk III w otoczeniu Elektora Albrechta i księcia Jerzego. Opis całego wesela jest przedmiotem obszernych przekazy kronikarskich, spisanych przez ówczesnych świadków tego niezwykłego w swym przepychu wydarzenia. Uczynił to Długosz w odniesieniu do wypadków toczących się w Polsce. Pisarz Markgrafa Albrechta Brandenburgskiego, jak również skryba z Selgenthal Hans Seybold, skrupulatnie opisują spotkanie w wesołej Norymberdze i wydarzenia w Landshut nie pomijając szczegółów ubioru i ilości rogacizny ubitej na weselne stoły. Obie relacje niemieckie nie zachowały się w oryginałach do naszych czasów i można je odnaleźć w rzadkich przedrukach XVIII-wiecznych. Nieliczne dodatkowe przekazy źródłowe odnoszące się do rachunków weselnych i kontraktów ślubnych rozproszone są po archiwach zagranicznych. Nieeden szczegół krwuje się jeszcze w starych foliach. Nauce

historycznej nie obce jest owo wydarzenie z przełomu rozkwitu średniowiecza i początków renesansu. Wesele w Landshut jako świadectwo wrastania Polski w kulturę zachodniej Europy, jest jednocześnie świadectwem znaczenia Polski w kręgach wielkiej polityki cesarstwa i papieństwa. Pisał o tych wielkich dniach w dalekiej Bawarii K. Szajnoch i F. Papee... tak — ale hi-



storia dotarła do mnie nieco później. Lato tego roku było w Bawarii wyjątkowo pogodno. Pochylił nad starymi katalogami Bawarskiej Biblioteki Państwowej w Monachium słabo zareagowałem na dźwięk przekreślonego imienia Jadwiga.

Starszy wiekiem pan, Bawarczyk z urodzenia, rozmawiany w górzystym krajobrazie pełnym średniowiecznych zabytków, bez większego wstępu zaczął namawiać mnie na niedzielną wycieczkę do Landshut. Wie pan, to przecież wspaniałe widowisko... no! ta piękna księżniczka polska Jadwiga. Na najbliższą niedzielę nie zdążyłem. Ale po kilku dniach otrzymałem w kopercie ozdobionej średniowiecznym rycerzem na koniu, program uroczystości i bilety wstępu na widowisko.

Fascynowała mnie ta historia najnowsza. Jak Landshut robi historię XV wieku dzisiaj? Jakie elementy usiłuje wskazać, a co chce przemilczeć? Czy będą miały do czynienia z jakimś DNAMI, które każde miasto obarczone historią usiłuje organizować ku własnej chwale i uciesze turystów? Czy będzie to żaknada lub widowisko z pogranicza karnawału i ostatków? Zaczęłem studiować prasę lokalną i dociekać do źródeł powstania pomysłu, do nazwisk ludzi, którzy wzięli na siebie trud rekonstrukcji zamierzonych wypadków. Lektura XV-wiecznych relacji jest rzeczywiście pasjonująca. Pod jej wpływem zawiązuje się robocza grupa ludzi, spośród landshuckich mieszcuchów, pod nazwą „Patronaci” (Die Foederer). Dobierają do swego grona miejscowych historyków-amatorów, których nigdzie nie brak w miastach chlubiących się dawną tradycją. I tak, na początku naszego stulecia (1903), uliczki Landshut zaroiły się setkami osób weselnego orszaku. Mając do dyspozycji szczegółowy opis uroczystości XV-wiecznych, zabrano się do rekonstrukcji z całą dokładnością. Piekarze i rzeźnicy landshucy szły sobie stroje książąt i panów niemieckich, a dla żon i córek oryginalne i jakże powabne stroje polskiego fraucymeru. Literat monachijski Georg Schaumberg pisze sztukę teatralną opartą na motywach dworskich, w której rodzina książęca tamie opozycje antypolską ralców z Landshut. Z licznymi przerwami, przez szereg lat organizowano w ciepłe dni lipca Wesele w Landshut. Nastąpił z biegiem czasu liczne dodatki w postaci turniejów rycerskich, koncertów muzyki XV-wiecznej. Na blichach podmiejskich ku uciesze swoich i przybyłych, improwizowano sceny z życia obozowego, kraszone piecystym z różną i beczkami piwa. Hitlerzyzm przerwał zabawę w historię. Zbyt wiele było w niej motywów polskich, zbyt piękna była Polska w... brunatniacej Bawarii. Po II wojnie światowej po-

KRAJINA PACHNĄCA RYBĄ

Wilgotny, morski wiatr niesie w głąb ładu, zapach ryby. Wypelnia nim kręte, ciasne uliczki miasta, owiewa szare mury romańskiej katedry św. Swithina i nowoczesne biurowce. Dodiera na perony dworca kolejowego gdzieś toż kończą się ślady. Tu konie jazdy pociągów. Stavanger – początek krainy fiordów i szkieł, żatek i wysepek. Królestwo marynarzy i rybaków.

1

Miasto leży na stokach wzgórz nachylonych ku morzu. U stóp katedry skupiły się drewniane, nieraz kilkukipietrowe domy w zwartej zabudowie, tworząc krótkie, kręte zaułki. Ulice idą ku przystani tu i ówdzie schodząc dziesiątkami stopni w dół. Stare, niekiedy kilkusetletnie domki lśnią czystością, wylakierowane na biało, żółto, lub czerwono. Ani śladu zaniedbania. Śródmieście jest wiekowe ale tętni nowoczesnym życiem. Partery przebudowano tworząc wielkie witryny sklepowe. Na piętrach przytulne restauracje, do których zapraszają szklę i wypisaną kredą na tablicach specjalność lokalu. Inna rzecz, iż dania miejscowe nie zawsze przypadają do gustu przybyszów z Polski. Większość popularnych gatunków ryb przyrządza się w taki sposób, że przypominają klepski filet z dorsza. Białawe kluski z rybnej mączki podlane słonym masłem, lub pływające w tłuszczu kawałki peklowanej wieprzowiny – to po prostu częste rzeczywistości, z którą trzeba się tu pogodzić.

Horyzont od wschodu zamykają szare pasma niskich, skalistych gór. To właśnie stamtąd wędrowali na przełaj w średniowieczu góralskie pielgrzymki z doliny Setesdal na doroczny odpust do stavangerskiej katedry. To był „ich” kościół i „ich” miasto, i „ich” okno na świat. Aby je odwiedzić, warto było maszerować przez dwa tygodnie skalnymi bezdrożami. Miast w owych czasach. Kiedy Sigurd Jorsalfar zakładał w roku 1125 biskupstwo w Stavangerze, było w Norwegii niewiele. Później biskup Reinold przybył tu z Winchester w Anglii, starał się jak mógł krzewić swe nauki w umysłach Wikinów zachodniego wybrzeża co mu chyba nie przychodziło z łatwością... Osiedli wśród fiordów i granitowych urwisk chło-

pi i rybacy wędli żywot zuchwały, samodzielny. Stopniowo jednak stavangerski ośrodek portowy zaczął słynąć wśród mieszkańców południowo-zachodniej części Norwegii. Niemała atrakcją była wzniesiona przez angielskich mistrzów katedra. Nie więc dziwnego że w XVII wieku naraził się srode miejscowym góralom duńsko-norweski król Chrystian IV, który przeniósł biskupstwo i lokalny ośrodek administracyjny ze Stavangeru do zbudowanego na południu portu Kristiansund. Z tą zmianą nie pogodzą się nigdy na dobre.

2

W przystani ruch coraz większy. Olo z przycumowanego opodal wodolotu „Vingter” przetruciono mostek i w tej chwili wchodzi po nim na pokład pierwsi pasażerowie do Hangesund i Bergen. Przeważnie turyści amerykańscy norweskiego pochodzenia. Poznać ich łatwo po nieco odmiennym ubiorze, kamerach filmowych, ozdobnych okularach i znakomitym humorze. Przez ważnie ludzie starsi lub wręcz starzy; długo oszczędzać musieli na przejażdżkę do dawnej ojczyzny. Teraz weseli jak szczygły, otoczeni tłumem znajomych coś papla po norwesku i angielsku równocześnie. Jest ich podobno w Kanadzie i USA ogółem parę milionów, jeśli wierzyć źródłom norweskim. Pamiętamy, że w samej Norwegii mieszka zaledwie trzy i pół miliona ludzi! To właśnie ze Stavangeru wyruszyła w roku 1825 pierwsza, 50-osobowa grupa emigrantów. Kryzys gospodarczy, jaki ogarnął wówczas dziewiętnastowieczna wieś norweska spowodował słynną „gorączkę amerykańską”. Norwescy drwale i robotnicy tartaczni szukali zarobków w leśnych obozowiskach Minnesoty, Dakoty i Waszyngtonu. Kulminacyjna fala emigracji nastąpiła w latach 1879 – 1893 kiedy to Norwegię opuściło 250 tysięcy osób i całe doliny górskie poczęły się wyludniać. Najwięcej ich wyjeżdżało właśnie z zachodniego wybrzeża. Dziś, ta „gorączka amerykańska” należy już od wielu lat do przeszłości.

Kiedy w IX wieku naszej ery pojawia się po raz pierwszy nazwa „Northvegr”, oznacza ona „drogę wodną na północ”. Oczywiście drogę morską, wzdłuż fantastycznie

urozmaiconego wybrzeża Norwegii. W linii prostej ogromny ten pas zajmuje tyle miejsca, ile pochłonięłyby autostrada łącząca Oslo z Neapolem. A dodajmy, że jest to wybrzeże pocięte tysiącami fiordów. Nie mogły go upilnować w czasie okupacji niemieckie ścigacze. Kuchnie norweskich rybaków działające w ramach podziemnej organizacji „Autobus Sztetlandzki” regularnie kursowały między fiordami zachodniego wybrzeża i Szkocją, wywożąc ściganych przez gestapo ludzi, transportując broń i amunicję oraz instrukcje dla ruchu oporu.

3

Od niepamiętnych czasów łowiono tu ryby. W niewielkich łodziach wiosłowo-żaglowych pływano wśród fiordów i wysp. Rybę spożywano na świeżo, gotowano, wędzono, suszono. Od wieków ryba mączka, starta ręcznie w kamienionych korytach była jednym z tradycyjnych przysmaków norweskich rybaków i farmera. W XVI i XVII wieku rybakami zaczęło tu coraz intensywniej handlować. Do dawnych terenów połowu doszła w północnej Norwegii doszły teraz słynne z ławie śledziowych wybrzeża południowo-zachodnie. Od grudnia do marca trwał okres morskich żniw bez względu na lodowate podmuchy północnego wichru i wściekle sztormy, wobec których nawet dzisiejsze statki rybackie są niekiedy bezsilne. Śmierć hulala przebieżkami wśród rybackich flotylli, a jej symbol, upiór morski Draugen, do dziś żyje w legendach rybaków zachodniego wybrzeża.

Drwili sobie wszelako z Drauge na kupcy z portów zachodniorowych, a zwłaszcza bogaci, niemieccy hanzeci z Bergen, których fortuny wyrosły na połowach. Oni to mieli monopol eksportu suszonej ryby do Niderlandów, Portugalii, Hiszpanii i Włoch. Dla nich pragnęli i narażali się rybakcy z ubogich osad nadmorskich. Kupiec dostarczał sprzęt i łodzie, zabierając część wartości połowu. Sprawdzeni niebezpiecznie pod koniec średniowiecza do Norwegii kupcy niemieccy, przez szereg pokoleń dyktowali warunki tej części Skandynawii i niedługo król musiał się liczyć z ich wola. „Bryggen”, stara dzielnica drewnianych kantorów handlowych w porcie bergeńskim była istnym państwem w państwie. Niemcy ce-

lowo izolowali się od miejscowego społeczeństwa, tworząc przez całe pokolenia zamkniętą grupę wspólnoty interesów. Między innymi np. wystrzegali się małżeństw mieszańców, by drogą powiązań rodzinnych z Norwegami nie osłabić swej uprzywilejowanej pozycji.

Dziś po aroganckich władcach z „Bryggen” pozostały szereg drewnianych domów zabytkowych, tradycyjne kupieckie i... popularna lemondada marki „Hanza”. I nie w Bergen dawnej metropolii kupców ryb lecz położonym na południu Stavangerze od 90 lat produkuje się najwięcej norweskich konserw rybnych.

Handel świeżą rybą znajduje się po większej części w ręku rybackich spółek. Widziałem takie rybne targi, z których najsłynniejszy w Bergen, usytuowany na końcu zatoki Vaagen jest znaną na całą Europę atrakcją turystyczną. Od rana do godziny 15. stoja tu rzędy straganów z rozmaitego rodzaju rybami. Zapach wędzonego mięsa i oleju miesza się ze swadem spalin, gdyż obok u betonowych nadbrzeży pykają motory rybackich barek. Sterty prażonych krewetek tworzą różowe piramidy. Kułuje się je na garści, na torby, na kilogramy. Plac pokryty jest tysiącami różowych, wąsatych główek i łap jakie wraz z wierzchnim panczem odrzuca się konsumując tego skorupiaaka. Ale oto zbliża się trzecia: straganiarze zwiążą swój towar. Robotnicy miejscy sikawkami zmywają brud i odpadki z betonowych płyt do morza. Plac się wyludnia. Jutro – znów świeża ryba.

4

Chodząc wśród straganów bergeńskiego „fiskeforret”, a także zaglądając przez witryny w głąb sklepów rzeźniczych Stavangeru, widziałem olbrzymie polacie mięsa przypominające wołowinę. Musiałoby to być jednak niezwykle rozmiarów wół, z którego wycięto tak potężne kaski. Moim znajomym Norwegowie wyjaśnili mi zagadkę bez trudu. To wieloryb, znakomita potrawa, w mizym nie ustępująca wołowej pieczeni. Musi ją pan kiedyś skosztować! Nie skosztowałem, gdyż świeże mięso wielorybie pojawia się w restauracjach okresowo, w zależności od nadejścia transportów z oceanu. Połowcy wielorybów stanowią poważną pozycję w norwes-

kiej gospodarce morskiej i to nie od dziś. Już w okresie młodszej epoki kamiennej mieszkańcy norweskiego wybrzeża polowali na te kolosy i właśnie pod Stavangerem znaleziono wyrzute na skałach wielkie rysunki wieloryba, pochodzące sprzed około 3000 lat.

W pierwszej połowie naszego stulecia Norwegia dokonuje dzwonnej ekspansji. W przeciwieństwie do tradycyjnych potęg imperialistycznych zagarniających ludne i bogate w surowce obszary, ten niewielki, pokojowo nastawiony naród zaczyna interesować się bezludnymi na ogół, jałowymi skrawkami ładu, sterczącymi z wód oceanów. Tak więc niebawem po zakończeniu I wojny światowej zwycięskie mocarstwa przyznają Norwegii Spitsbergen, zwany oddział Svalbardem oraz Wyspę Niedźwiedzią na Arktyce. Później przychodzi aneksja takich pustynnych wysepek jak Jan Mayen, Wyspa Piotra I i Wyspa Bouveta, a wreszcie objęcie w posiadanie części Antarktydy. Na aneksjach tych nikt nie uciepiał z wyjątkiem wielorybów, gdyż z owych baz wyruszają na połowy coraz to nowe ekspedycje norweskie. Ale ostatnio wielorybów zaczyna brakować. Coraz częściej słyszy się głosy, by ratować te olbrzymie ssaki przed zupełną zagładą. Coraz mniej wielorybów, tak do niedawna żywiłowo rozbudowywane, zaczyna się opłacać. Charakterystyczne, że ostatnio sporą część swojej floty wielorybniczej sprzedała Norwegowie Japończykom. Czyżby zapowiadał się zmierzch skandynawskiej potęgi wielorybniczej?

Wodolot, którym płynąłem ze Stavangeru do Bergen wzdłuż zachodniego wybrzeża przemycił się wśród przybrzeżnych wysp unikając pełnomorskiej fali. Rwał naprzód rozbrzuszając pływaki pianę. Dzień był pochmurny lecz spokojny. Powierzchni wody nie miał chwilami ani jeden podmuch wiatru. Wśród granitowych skał białe osady nadbrzeżne. Czerwone punkty boi wyznaczających tor wodny i betonowe latarnie na kamienistych przylądkach nadawały krajobrazowi piętno nowoczesności i poczucia bezpieczeństwa. Jakaś wycierka szkolna wystęgała na pokład. Norwescy Amerykanie gasili pragnienie w bufecie tradycyjnym piwem. Bertraska atmosfera turystycznego sezonu...



Jan Jerzy Madejski

„Przystań”

stanowiono organizować widowisko co trzy lata, zawsze w m-cu czerwcu lub lipcu, w trzy kolejne soboty i niedziele. Organizacja widowiska otrzymała teraz oprawę na miarę eksportową. Jak zapewniali jednak projekty i liczne doniesienia prasowe, amatorski charakter imprezy pozostał bez zmian.

8 lipca wyjechałem do Landshut. Była niedziela, sklepiona wysokim błokiem nieba. Landshut leży na południu Niemiec, wśród wzgórz zwiastujących przedalejski krajobraz i od niedawna szczyty się liczą 50 tys. mieszkańców. Izara płynie tu licznymi zakolami i spięta wieloma mostami dodaje miastu szczególnego uroku. Na dużym wzniesieniu podmiejskim rozsiadł się zbudowany w XIII wieku zamek. To Trausnitz – dawna siedziba starej rodziny książęcej Wittelsbachów z linii landshuckiej. W XV wieku panują tu książęta z przydomkiem „Bogaci”. Jerzy jest jedynym synem na dworze książęcym i ostatnim. Rolniczy kraj leżący na przecięciu się traktów komunikacyjnych stanowił od dawnych czasów zamożną dziedzicę. Wyrósł u podłoża zamku miasto przetrwało szczególnie wawieruchy wojenne i stanowi dziś zabytek budownictwa średniowiecznego, rzadko spotykane. Dwie szerokie ulice biegnące do siebie równolegle, zabudowane pięknie wieńczonymi fasadami, zbiegają się koło wysoko strzelającej w górę – katedry Marcina. Na szerokiej dolinie rozsiadły się liczne budynki i kościoły dawnych klasztorów. Zaglądam do programu. Czas pójść do ratusza na przedstawienie teatralne. Wspaniała sala posiedzeń, dawnej rady miejskiej, przekształcona na małe teatrum, tonie w barwach starych chorągwi cechowych. Na ścianach malowidła (XIX w.) ilustrujące orszak weselny. Szesćciokonny zaprzęg Jadwigi zajmuje całą długość sali. Ale oto trębacz obwieszcza początek przedstawienia. Dobre stroje i klepska gra aktorów-amatorów przenoszą widza w „tamten” świat. Godzinna dysputa rajców miejskich z książętami kończy się, bo oto goniec obwieszcza zbliżanie się pod mury miasta orszaku Jadwigi. Wychodzą na miasto, aby obejrzeć zaciąganie straży przed średniowiecznym budynkiem na starym miejscu, w którym Jadwiga znalazła wytechnienie po uroczystościach zaślubin. Jest gorąco. Snuje się zaułkami miasta i wyszuka drogę do rezydencji władz miejskich. Miasto dymi upałem i zagęszcza się ludźmi. Wspaniała pogoda ściga turystów z nadszatków zakątków Niemiec. Dochodzi astronomiczne południe. Opuściam rezy-

dencję i kieruję się przez miasto ku widniejącemu na wzgórzu zamkowi. Zdażę jeszcze go zwiedzić, gdyż korowód weselny rozpocznie się o godz. 14.30. Spaceruję po komnatkach zamkowych i renesansowych krużgankach. Niestety, Przed kilkoma tygodniami pożar strawił jedno skrzydło centralnych zabudowań, mieszczących archiwum. Woda i ogień zniszczyły dużo dokumentów. Opuściwszy zamek natykam się na kantorek z pamiatkami. Starszy Jegomość wytka mi do ręki dwa powielone wykazy. Znow „polonica”. Wśród woskowych odlewów starych pieczęci królewskich z XV wieku, jest także pieczęć Kazimierza Jagiellończyka. Wyciągam z kieszeni marki i na ich miejsce wkładam pudełko z połączonych rozmiarów woskową pieczęcią. Miejsce do obejrzenia orszaku weselnego mam na trybunie ustawionej na chodniku. Spoglądam na bilet przysyłany mi wcześniej do domu. Jest numerowany. Trybuny zapelnione. Z zaklopotaniem obracam w palcach skrawek biletu. Podchodzi domnie, ubrany w spodnie o różnokolorowych nogawkach, jegomość i zabierając bilet prowadzi na oznaczone miejsce – jest wolne. Siadam. I oto nadciągają pierwsi aktorzy – jak głosią prospekty – największego widowiska historycznego Niemiec, 1000-osobowy korowód otwierają pachołkowie miejscy, za nimi gromady dudziarzy, bebenistów i grających na fujarkach. Na ciekim perszeronie jedzie herold miasta Landshut a za nim postępują przedstawiciele poszczególnych cechów. Wysłannicy miast bawarskich krocza dostojnym krokiem, odziani w długie sukienne stroje obwieszone łańcuchami, symbolizującymi piastowane urzędy. I znow pachołkowie miejscy poprzedzają orszak rady miejskiej Landshut z podkomorzym i pisarzem miejskim na czele. Herold książęcy na koniu otwiera pochód dostojnych i uytulowanych gości weselnych. Grając w marszu, kroczy nadworna kapela książęca. Nadchodzą całe dwory książęce z Brandenburgii, Austrii, Saksonii, Bawarii, Monachium, Wirtembergii i Tyrolu. Książę na Saska wiedzie na wozach cały swój dwór i liczny orszak pięknych dam dworskich. Ale oto nadciąga poprzedzony fanfarami na koniach orszak cesarski. Fryderyk III jedzie w towarzystwie swego syna Maksymiliana i kuzynat. Wśród dostojnej świty, bogactwem stroju, wyróżnia się brat sultana tureckiego. Za orszakiem cesarskim kroczy dworska orkiestra dęta i książęca leibwacha. Ojciec pana młodego Ludwik Bogaty niesiony jest w lektycie. Starca po-

dagra nie pozwala mu iść o własnych siłach. W jego świecie dostojnicy i zauszniczy dworscy, od których pełno było na dworach Wittelsbachów. Po bokach podskakują nadworni wesołkowie i lekkim krokiem z ptakami na ramionach krocza sokolnicy. Za dworem książęcym jedzie w wspaniałym zaprzęgu księżna Amelia z Bawarii – Landshut. Za jej pojazdem, zakuci w zbroję pancerną, jeźdźcy turniejowi prowadzeni przez księcia Krzysztofa Mocnego. Dwór polski otwierają piersi fanfaryści. Za nimi kroczy straż przyboczna księcia juniora. Na trybunach i w oknach domów rozlegają się wiwaty i na jeźdźni padają kwiaty, bo oto nadciąga karoca z córką królewską Jadwigą. Szesćciokonny zaprzęg prezentuje się wspaniale. Konie przybrane w czerwono na uprzą, niespokojnie krocza trzymane za uzdy przez dworaków. Książę Jerzy jedzie obok na koniu w otoczeniu paziów, niosących pochodnie. Gwardia polskiego dworu królewskiego otacza złoścista, ciężka karoca. Piękna Jadwiga wychyla się przez okno w drzwiach karocy i biała chusteczka pozdrawia wiwatujący tłum. Na boku karocy zwiisa do ziemi ciężki, szkarłatny kobierzec z białym orlem. Doznaje dziwnego uczucia, które jest zapewne zupełnie obce reszcie widzów. Jadwiga jest rzeczywiście piękną dziewczyną i plotka niesie, że następuje tego zaszczytu po licznych eliminacjach. Wybór daje jej tytuł „miss” a tato musi wpłacić do kasy organizatorów niebagatelną sumkę. Za karocą cały zastęp szlachty na koniach. Wśród jeźdźców piękne dziewczęta ubrane w długie aksamitne suknie, dopasowane i w pięknych kolorach. Siedzą na koniach bokiem, jak nakazuje stary obyczaj. Obok zbrojnego rycerstwa na drobnych koniach jada Tatarzy i lekkobrojni Litwini. Potężny orszak Jadwigi ciągnie się jeszcze drugim szeregiem.

Pociągnie on dalej ulicami, a ja tymczasem zdążam na stadion sportowy, gdzie odbędzie się uczta weselna i turniejowe igrze. Po jednej stronie boiska na podwyższonej trybunie, ustawiono stół weselny, przy którym uczestnicy widowiska zjedzą suty i prawdziwy obiad. Spiker ogłasza nadciąganie od strony miasta orszaku. Na stadion wkroczy pochód, w starym porządku z wyjątkiem jeźdźców, którzy na końcu w pełnym galopie zajmą murawę boiska. Usługę wyłuskać z mikrofonów słowa konferansjera. Pozdrawia Polskie Radio i Kadyjską Telewizję. Jeszcze kilka słów o świetnej przeszłości dwóch narodów i słowa głąw na ogłosach fanfar. Orszakowi

królewskiemu, który siedzi za stołem z zachowaniem dworskiego ceremoniału, składają hold rycerze przystępujący do turniejów i zabaw. Teraz rozumiem słowa spikera lepiej. Oto raport składa księcia Jerzemu jakiś krewniak rycerza z XV wieku. Przez karty historii przedziiera bawarska rzeczywistość dnia dzisiejszego, pełna jeszcze nazwisk z przydomkiem von. Rycerze nacierają na siebie wzdłuż stolanego płotu, biegnącego przez boisko uzbrojeni w... plastikowe kopie. Począty sztandarowe ustawiają się do zabawy, polegającej na ściganiu łańca małego pierścienia zawieszzonego na drzewianej żerdzi. Poszczególne jeźdźcy w pełnym galopie przystępują do zawodów. Za stołem biesiadnym, liczne kapale rozlewają gości. Wzięcie nagrody zwycięzców turniejowych kończy to barwne widowisko.

Zapada zmierzch i powoli pustoszeje stadion. Na podmiejskich błoniach zaczyna się biesiada widzów. Pod namiotami, przy ustawionych pod gołym niebem stołach, wymieszani z kostiumowym ludem cywile zasiadają do talerzy i kufla. Płona ogniska przy których piecze się ćwiartki wołów i błyskają elektryczne smażarki do drobiu. Rezygnuję z poszukiwań polskich radiowców i walę się na ławę najbliższego stołu. No! To za Jadwigę!

Na dworcu monachijskim wysiadam późną nocą. Gdy dobijam na Poschinger Str. jest cicho i ciepło. Otwieram okno i spoglądam na dom stojący naprzeciwko. To dom, w którym mieszkał przed półwieciem na wygnanie Tomasz Mann. Próbuje zrekapitulować minione dzieje. Przychodzi mi to bardzo trudno. Nie wiem dlaczego? Czyżby nakleją na butele z sokiem porzeczkowym, który piłem na dworcu odebrała mi smak dobrej zabawy? Na butelkowej nalepie widniał napis – Vaihingen/Enz. To ta sama miejscowość, w której w roku 1944 pracowałem w kamieniołomach... Patrzyłem na dom Tomasza Manna. W oknach było ciemno. Łatwiej jest ukazać życie ludzkie w jego radosnych przejawach. Epilog wesela w Landshut był smutny. Jadwiga nie zaznała szczęścia na dworze Wittelsbachów. Zamknięta na zamku Burghausen i izolowana całkowicie od dworu landshuckiego, wiodła pustelniczy żywot wśród obcego jej środowiska.

Niedziela landshucka miesza mi się z monachijską powszednim dniem, historia z teraźniejszością. Na usta ciśnie się paradoks. Jest na tej ziemi coś, co nie pozwala zbierać ludziom siana w pogodny czas.

Włodzi•Włodzi•Włodzi•Włodzi•Włodzi

ANDRZEJ BISKUPSKI

ZAMIAST WSTĘPU

Coraz częściej słyszy się o wciąż narastającym kryzysie młodej i najmłodszej poezji. Zastanówmy się pokrótce nad tym, jakie są niektóre objawy tego niepokojącego zjawiska i gdzie należy poszukiwać jego przyczyn.

Pierwszym zarzutem, jaki stawia się młodej poezji jest jej programowa niekomunikatywność. Jeżeli zarzut ten stawia czytelnik, można podejrzewać go o brak przygotowania do odbioru twórczości wykraczającej jednak poza znane mu wzorce: jeżeli zarzut taki stawia doświadczony pisarz, można go jeszcze podejrzewać o niechęć do wszystkiego co nie chce stanowić kontynuacji „jego szkoły”; jeżeli jednak autor kilku wierszy — głoszący się przedstawicielem młodej poezji — uznaje za jedyne swój program konieczność niezrozumiałstwa każdego przekazu poetyckiego, to oprócz tego, że należy posądzić go o płaskie zrozumiństwo, należy uznać tę jego postawę za wyraźny objaw znieczulicy społecznej. Bo trzeba chyba zgodzić się z poglądem Artura Sandauera — że tych czytających musi być choćby trochę więcej, niż tych piszących.

Z owego wspomnianego niezrozumiałstwa wypływa następna nieprawidłowość, którą młodzi poeci uznają (nie mówiąc nigdy o tym wyraźnie) za naczelną prawo swojego pisania — jest to: „pisanie dla samego pisania”, albo „metaforyzowanie dla samego metaforyzowania”, albo „poprawne wierszowanie dla samego poprawnego wierszowania” — a będzie to więc uchylanie się od uczestniczenia w próbach kształtowania nowych stosunków międzyludzkich i obojętność wobec wszelkich sporów ideologicznych — będzie to także stronięcie od publicystyki, a w miejsce podejmowania problematyki filozoficzno-społecznej pojawi się bezpłodne estetyzowanie. A to ostatnie chyba tylko po to, aby jak najszybciej dostać się na Parnas (który we współczesnym języku — jak wiadomo — nazywany jest Związkiem Literatów).

Ta negatywna sylwetka młodego twórcy — jaką narysowałem — musi zdziwić nas tym bardziej, gdy przyjrzymy się przekrojowi socjologicznemu środowisk, z których ten młody twórca wyszedł. W przeważającej większości — są to środowiska robotnicze i chłopskie, gdzie brak nawyku stałego kontaktu z książką przeplata się z koniecznością z surowym bogactwem życia. Z drugiej strony te same względy mogą jednak częściowo usprawiedliwiać młodych. Ważnym wszak, że to zafascynowanie samą możliwością wypowiadania się poprzez piśmno — zafascynowanie i możność nieznana przecież ich ojcom — może być traktowane jako akt emancypacji ich środowisk, a także jako fenomen, który nie może zniknąć bez śladu w ciągu zaledwie paru lat. Zagadnienie jest jednak powiklane i — dla potwierdzenia lub zaprzeczenia — należałoby przeprowadzić szczegółowe badania socjologiczne pod tym właśnie kątem. Toteż w tym miejscu musimy się ograniczyć jedynie do sugestii.

Oczywiście w tych krótkich rozważaniach nie wyczerpaliśmy wszystkich aspektów kryzysu młodej poezji. Chodziło nam raczej o zapoczątkowanie dyskusji, której ciąg dalszy będzie mógł się potoczyć na łamach tej KOLUMNY MŁODYCH. Chcemy jednak podkreślić, że naczelną zasadą redagowania Kolumny będzie popieranie tych wszystkich autentycznych manifestacji poetyckich, prozatorskich, eseistycznych i publicystycznych, które przeciwstawiają się bleda niakości i oportunistom młodych.

Cieszymy się z tej nowej inicjatywy Redakcji — bo wydaje nam się, że młodych należy dopuścić do głosu choćby dlatego, aby przekonać się, co oni naprawdę mają do powiedzenia.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

Bajka o samogłoskach

Gdzie A zwinęło się i tylko wychodzi z niego dziobek dołem, zielone tańczą krokodyły, niebo zanosi się dziecięciem.

I choć kralna pełna mleka, zle źródła weewnątrz drzemią skrycie — nad O już z rana jastrząb krąży, by w szpony jego tajemnice porwać na wzgórze alfabetu.

Jeszcze jest I nie całkiem pewne swej dostojności, wdzięku, szyku, jak Ii w winnicy lekko trwożne, czy nań nie spadnie kropki wieko.

I jest księżniczka polnych kwiatów, gdy słońce z mroku słów je czyści, puszcza mi filuternie oczko, urwana główka z oczkiem leci.

Dlaczego E takie garbate, takie zawzięte w sobie całe, jak gdyby zlorzezyło światu, na plecach niosło skargi skargę.

Czasem mu losy dzwon uczepią, jedną nogą kamień zwinie, wtedy papieru białą wstęgą czapie już E, co zaszło w cięż-E.

Popatrzmy teraz w U — otwarte, i krater jego dymi śniegiem, niby jak ul a żadna pszczoła nie siada już na jego brzegu.

O samogłoski, ciemne wyspy na papierowych oceanach, przez wasze wody płynął Statkiem Rimbaud, aż stracił całkiem mowę.

I milczy wciąż największym słowem, a to jest burza, co od wieku targa podziemia samogłosek, dokąd już tylko barwa ścieka, i nikt nie mówi pełnym głosem.



Rys. A. Grün

FELIKS RAJCZAK

Goląb i jabłko

Goląb niosący jabłko
Przez przestrzeń zaszczipioną sadem
Kluczem dalekiej obfitości

Odwiaż kamień od ptaka
Ty poeto w przelocie
I ten węzeł i tę obcę
Rozplącz w literę

Ukleknij pod lotem wieko-pomnym
I módl się żreńcami
O doliny
Owoców i gwiazd

Aż odwalisz kamień pod którym słowa
Są jak białe mrówki przenoszące światło
Gałązki albo korzenie
Cienia

MIROSŁAW KUŹNIAK

Portret ostatni

Do rak nam gwiazdę przywiązali,
a język wplotli w skrzypce nieba.
Nogi w chodaki nam obuli
— chodaki z drzewa chlebowego,
które przy każdym rośnie domu.

I iść kazali.
Lewa gwiazda nas w sen prowadzi.

JAN JANIĄK

A gdyby tak
uwierzyć
w to i owo
na przykład
w przyjaźń
albo w ukryty sens
pisania wierszy

a gdyby tak
spotkać człowieka
porozmawiać z nim

spokojnie szczerze
otwarć

a gdyby tak
zniszczyć te drzewa
te suche gałęzie owoce
te puste gniazda

a gdyby tak
to co

JAN KOPROWSKI

Finński REYMONT?

Kiedy 20 października 1939 roku Akademia Szwedzka w Sztokholmie podejmowała decyzję o przyznaniu nagrody Nobla pisarzowi o dziwnym nazwisku Frans Eemil Sillanpää, nikt w Polsce nie interesował się tym wydarzeniem. Kraj nasz, po klęsce wrześniowej, wchodził w najtrudniejszy okres swego życia narodowego — w okresie okupacji hitlerowskiej. Zresztą i w zachodnich krajach, nie

dotkniętych jeszcze wojną, zainteresowanie ówczesnym laureatem Nobla było minimalne. Świat miał inne problemy do rozwiązania, niż interesowanie się nagrodami literackimi, choćby to nawet były nagrody o międzynarodowym znaczeniu. O pierwszym i, jak dotychczas, jedynym fińskim laureacie nagrody Nobla pisało się tej pamiętnej jesieni 1939 roku nie wiele i fakt ten utonął wśród większych i ważniejszych dla ludzkości wydarzeń. A był to już wtedy pisarz o wybitnych osiągnięciach, skoro, po pierwszej, nagrodzie Nobla mu przyznano, i, po drugiej, skoro w uzasadnieniu Akademii Szwedzkiej znalazły się słowa, że „za głębokie ujęcie i kunsztowną formę, przy pomocy których odzworzył życie chłopów i krajobraz swojej ojczyzny”.

Frans Eemil Sillanpää urodził się 16 września 1888 r. w rodzinie niezamożnego chłopa. Szkołę średnią ukończył w mieście Tampere, a studia (przyrodniczo-rolnicze) odby-

wał na uniwersytecie w Helsinkach. Po studiach (nieukończonych) wrócił na wieś, gdzie zajmował się rolnictwem i pisaniem. W r. 1936



otrzymał doktorat honoris causa uniwersytetu w Helsinkach, a po wojnie, w 1945, przyznano mu państwową nagrodę literacką za całokształt działalności twórczej. Zmarł 3 czerwca 1964 r. licząc 76 lat.

Frans Eemil Sillanpää zaczął pisać wcześnie i już pierwszą jego powieść ogłoszono drukiem, „Słońce życia”, zwróciła na niego uwagę krytyki i czytającej publiczności. Krytyka pisała wprawdzie, że w powieści Sillanpää widoczne są wpływy Hamsuna i Maeterlincka, ale jednocześnie wysoko oceniała jego umiejętności pisarskie. Stałym tematem jego powieści i nowel była wieś, jej sprawy i obyczaje. Z upodobaniem odzworował życie ubogich chłopów na tle zmieniającej się przyrody w czasie czterech pór roku. Może stąd, między innymi, wzięło się porównanie go (nie pamiętam już kto, gdzie i kiedy to uczynił) do Reymonta. Jednakże nawet w najlepszych swoich utworach Sillanpää nigdy nie wznosił się na wyżyny sztuki, zademonstrowanego w „Chłopach”. Dlatego powiedzenie, że Sillanpää to fiński Reymont jest jedynie efektownym chwytym stylistycznym, nieczym więcej. Jego powieści, dość ubogie pod względem fabularnym,

nie obfitują w takie bogactwo obserwacyjne, jakie znajdziemy u Reymonta. Obce są też fińskiemu autorowi tendencje społeczne i polityczne, co niewątpliwie czyni jego rzeczy mniej atrakcyjnymi zarówno dla krytyków jak i czytającej publiczności.

Wszystkie te uwagi spisuję na marginesie wydanej obecnie po raz pierwszy po polsku powieści Sillanpää „Słońce życia”, która w Finlandii ukazała się przed pięćdziesięciu laty. Należy się zdumiewać, że ani przed wojną, ani po wojnie nie przekładano tego pisarza na nasz język. W ogłoszonej w 1932 r. „Literaturze Powszechnej” znajduje się również rozdział poświęcony literaturze fińskiej. Autorka tego rozdziału, Kazimiera Zawistowicz, napisała o interesującym nas tutaj pisarzu jedno jedyné zdanie, a mianowicie: „ciezy się też powożeniem Sillanpää”. A przecież Sillanpää był już wtedy znanym i cenionym autorem nie tylko we własnym kraju.

Może więc opublikowane obecnie przez Wyd. Poznańskie „Słońce życia” zapoczątkuje lepszą znajomość z dziełami fińskiego laureata Nobla. Ale wypadła powiedzieć od razu, że nie będzie to łatwe. Uroki jego prozy nie polegają na fascynującej fabule, nie przyciąga nas także bujna obserwacja ludzi i faktów. „Słońce życia” zaleca się raczej odczytać, niż dramatyzmu losów ludzkich. A jednak nie ulega wątpliwości, że jest to literatura niecodzienna, warta zainteresowania i uwagi. Choć trudno to mówić o pełnej egzotyce, powieść ta coś z egzotyki zawiera z całą pewnością.

Frans Eemil Sillanpää, odkryty dla czytelnika polskiego, zostanie w naszej pamięci.

Włodzi • Włodzi • Włodzi • Włodzi • Włodzi

JERZY JARMOŁOWSKI

PROBA ŁAGODNOŚCI

W niedzielę odwiedziliśmy starego. Stary, jak stary, dusza człowiek, z sercem na dloni. Uparty. Jak mu się jedna zmeży, to przekłada na drugą i nosi. Takich Pan Bóg karze. Ten do ludzi z sercem, to tamten mu kamieniem na watrobie.

Przyszedłszy, a tu stary z jakimś żółciowcem zagrywa. Kamień leci prawie pod sufit, on serce na jednej dloni, drugi kamień z koldry zżarnia, wyrzuca, łapie pierwszy i nim zdażyliśmy się połapać, już piatkę w garści trzyma. Taki jakiś z piaskownicy i gębe ma jak od rycia koła.

Zostawił kamyki, przełożył serce do prawej dloni i nam podaje. Daliśmy sobie ze starym z dubeltów, serce lekko pogłaskaliśmy, tylko zębami trze czy piachu czasem nie poczuje, ale nie.

— Wczoraj jednemu pięć kamyków wyjęli, to sobie gramy — mówi. A mnie tak coś z tym piachem.

— Tata a a a ... w koła nie grałeś? Stary na mnie popatrzył, aż serce się dziwnie ruszać zaczęło.

— A niby co kamyki do koła mają? — Niby nic, ja tylko tak.

— To daj no nerowice, scyzoryk, my se z synem partycie w koła. — Zeszliśmy do ogrodu, znaleźliśmy miejsce za krzakami — nielegnarki tu nie zaglądają — stary ziemie scyzorykiem skopał i ryłem takiego na dwadzieścia pięć sztychów. Przytył miał prościejszy o angielkie i palcówkę też lepszą. Mogłem nie ryc, ale on mnie chciał przyjemność zrobić, to ja też.

Na górce czekała stara. Z babami jak z babami. Jemu zaczęła wymawiać, że się po ogrodzie włóczy, na pewno się przeziębili, a potem to kałesony żółte i doprac nie można. A ja się w piachu tarzam, świeża kosała, kolnierzyk cały brudny, w ogóle jak nieboskie stworzenie — wstyd się ludziom pokazać.

Mnie coś tknęło i powiedziałem: — Święta prawda, bo ci ludzie odwaleni jak stróż w Boże Ciało, albo nauczyciele we Wszystkich Świętych.

A stara, żeby Boga do tego nie mieszać, i że niedziela.

To ja:

— Bóg nie najlepszy, bo do taty kamieniem, a tata serce na dloni. A one obie, że z tym sercem to nie tak. Może dla nich to nie tak, a dla mnie tak, i wszyscy mogą zaświadczyć. Żoładkowcy się na łózkach popodnosili, kiwali głowami aż wyszło na moje. Jeden nawet mowę założył.

— Operować nie mogą, bo kamień gdzieś włoży i trudno się dostać. Jakby się zdenerwował, może by się ruszył.

To ja mówię: — Tata, nie bądź głupi, tylko weź się i zdenerwuj.

Baby na mnie, że on przez całe życie był dobry, a ja go namawiam. Ja tam wcale nie namawiam, tylko po co ma być dobry i dobry umrzeć, kiedy Pan Bóg do niego kamieniem. A tak, kamień sobie weźmiemy, doberzemy cztery — można zagrać.

Stary cały czas cicho siedział, serce z ręki do ręki przekładał aż mu szczyki chodź zaczęły, tak się zdenerwował. No i miał rację.

Następnym razem, to już było po operacji.

Stary leży smutny, tylko mu się oczy świecą i do mnie mruga. Kiedy opowiedział starej — wszystko dokładnie — jak go w porządek i wzdłuż krajał, to ta do niego:

— A kamień masz?
— Nie mam.
— A dlaczego?
— Bo to brukowiec.
Baby zaraz, że mu na mózg padło.

To on, że nie padło — tylko lekarz mówił, że takim piekło musi być wybrukowane. I jak tego baba pódzie do piekła — na pewno pódzie — to ja beda gołym tyłkiem na tym kamieniu sadzali, on jest kanciasy i przez wieczność swoje zrobi. A domku jej też nie zapisze, tylko mnie.

Stara z mety:
— Łapserdak, gołodupiec i jeszcze domek dostanie.

Ja, że spodnie i sweter mam, i w białej koszuli przyszedłem, i że na gości to ja beda sadzali.

Tak już na okragło do końca widzenia. Potem, stary tylko mnie serce do noszkania podał, a przy dubeltówce szepnął:
— Nie się nie martw, jakbym powiedział, to by nam zabrali.

Miesiąc temu stary wrócił do domu. W jednej ręce serce, w drugiej kamień owinięty w liznę przyniósł.

Stara zaraz:
— Kamienie się na kamieniach rodzą, to on blisko być nie może. Z początku nawet się zastanawialiśmy. Natwierw było żeby zakopać, potem ja wpadłem na myśl, że lepiej z procy Panu Bogu w okno strzelić. Ale szkoda, bo okno na niby, to żadnej szkody nie będzie — i tak już został. Stary z jednej półki w kredensie talerze wyrzucił, wyłożył bibułką, kamień swoje miejsce ma — mały, bo mały, ale ładny i własny.

Jest choć to się gra i się babom w oczy kole. Kiedy już im dobrze oczy wykiuje — tylko w kamieniu albo w koła, takim to do brze, co by tu robić żeby nie nie robić — stary chowa serce za siebie, przez godzinę nosi na plecach, mówi że się zmęczyci i jak go w domu maltretują, to on ten dom może sprzedać. Bo serce ciężkie na plecach, to nie to co na dloni.

Tylko tak mówi, w siebie serce nigdy nie chowa — za siebie, jak już musi.

październik 1964

Od tłumacza: Poeta francuski urodzony w r. 1900 w Paryżu. W latach 1924–1930 związany z grupą poetów nadrealistycznych. Z tego okresu pochodzi zbiór prozy poetyckiej „Deuil pour deuil” (1924), poemat „Le Liberté et l'Amour” (1927) oraz zbiór poezji nt. „Corps et biens” (1930). Po roku 1930 Desnos grywa z surrealizmem tworząc własną oryginalną poezję, w której doświadczenia poetyki nadrealistycznej łączy się z harmonijną całością z umiarem i prostotą poezji tradycyjnej. W czasie wojny

Desnos działa we francuskim ruchu oporu. Wydaje w tym czasie zbiór wierszy „Fortunes” (1942) oraz powieść „Le vin est tiré” (1943). W r. 1944 zostaje aresztowany przez Gestapo i więziony w Compiègne i Buchenwaldzie. Przewieziony do obozu koncentracyjnego w Teresinie na terenie Czechosłowacji umiera tam na tyfus w r. 1945. W r. 1953 wychodzi wydany pośmiertnie zbiór wierszy pod tytułem „Domäne public”. Dwa poniższe poematy pochodzą z tego zbioru i pisane były przez Desnosa z myślą o żonie poety, Youki.



ROBERT DESNOS

Tak wiele śniłem o tobie, że aż straciłaś swoją rzeczywistość.

Czy istnieje jeszcze czas dotyku tego ciała żywego i całowania tych ust narodzin głosu, który jest mi drogą?

Tak wiele śniłem o tobie, że me ramiona nawykły do uścisku twojego cienia na mojej pierś, nie mogłyby już ułożyć się zapewne w kształt twojego ciała.

Że stał się tylko cieniem wobec postaci rzeczywistej, która od wielu dni i lat mna rzadzi i mnie nawiedza.

O chwiejności sentymentalna.

Tak wiele śniłem o tobie, że na pewno już przestał istnieć czas, w którym mogłbym się zbudzić. Śnie stojąc, wystawiwszy ciało na wszystkie przejawy życia, i miłości, i ciebie. Mniej mogłbym doznać twojego ciała i twoich warg — jedyna, która od czasu dla mnie wszelkie dzisiaj — mniej, niż pierwszych warg i czoła pierwszego na ziemi.

Tak wiele śniłem o tobie, tyle chodziłem, mówiłem, kładłem się z twoim cieniem, że nie zostało mi nic innego, jak i samemu stać się cieniem pomiędzy cieniami i jeszcze sto razy więcej cieniem, który porusza się i porusza radośnie po słonecznej tarczy twojego życia.

Nie, nie umarła miłość w tym sercu, w tych oczach i ustach, które ogłaszały początek jej pogrzebu.

Słuchajcie, mam dość jej malowniczości, kolorów i uroku.

Kocham miłość — jej czułość i jej okrucieństwo.

Moja miłość ma tylko samo imię, samą formę.

Mniego wszystko. Warga przywiera do wargi.

Moja miłość ma tylko imię, tylko formę. I jeśli któregoś dnia wspomniłaś o niej, Ty, forma i imię mojej miłości, Pewnego dnia na morzu między Ameryką i Europą.

W godzinie, kiedy ostatni promień słońca odbija się w uczesanej falami powierzchni wody, lub na wsi podczas burzliwej nocy pod drzewem lub w podzie samochodu.

Pewnego wiosennego poranku na bulwarze Malherbes.

Pewnego dnia deszczowego.

O świecie zanim wstaniesz — Powiedz — rozkaż twojemu drogiemu cieniowi — że byłem samotnym kochając cię tak bardzo; i szkoda, że tego nie wiedziałas.

Powiedz, że nie trzeba żałować niczego: już Ronsard przede mną i Baudelaire wysławiali skargę starości i śmierci, które wzgardziły nalczywszą miłością.

Ty, kiedy umrzesz,

Bedziesz piękna i wciąż pożądana.

Ja umrę zatopiony całkiem w twoim nieśmiertelnym ciecie, w twoim zadziwiającym obrazie na zawsze obecnym między wiecznymi cudami życia i nieskończoności, lecz jeśli istnieje ja,

Twój głos i jego dźwięk, twoje spojrzenie i jego blask.

Znanych twój i twoich włosów, i wiele innych jeszcze rzeczy istniejących we mnie.

We mnie, który nie jestem ani Ronsardem ani Baudelaire'em —

Ja, Robert Desnos, który cie znał i kochał, Jestem im równy.

Ja jestem Robertem Desnos, aby cie kochać.

Nie pragnąc innej sławy dla swej pamięci na ziemi godnej pogardy.

Tłumaczył: SŁAWOMIR ŚWIONTEK

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Czy wystarczy światła

Czy wystarczy światła
aby unieść ciężar
i powiedzieć więcej niż znaczące milczenie

Na przykład niech będzie wlatujące słowo
które trwa w ciemności — bo nierozpoznane

Czy zdążył je nazwać tak cennie że trafisz

Poeta w podróży nie dostrzega siebie
niby przez lunetę patrzy przez swe ciało
i słucha co mówią

nie stworzone światy

BOLESŁAW
DUDZIŃSKI

Romans bardzo nietypowy

Krystyna Nepomucka, która debiutowała przed sześciu laty interesującą powieścią „Małżeństwo niedoskonałe”, a następnie uzupełniła ją tomem pt. „Rozwód niedoskonały” w swej nowej książce... „Obrączka ze słomy” podjęła temat niewdzięczny i można by rzec — paradoksalny: romans młodej Polki z żołnierzem niemieckim podczas okupacji. Paradoks nie jest synonimem nieprawdopodobieństwa. Owszem, słyszało się czasem

o takich historiach, że Polka zakochana „na zabój” i z wzajemnością w Niemcu, porzuciła pod koniec wojny swój kraj i rodzinę, aby z wybranym dzielić dalsze losy już w jego ojczyźnie. Cóż robić? Miłość, jak wiadomo, zasłania, a strzały Amora mają nieraz lot kapryśny. Ale tymi wybrańkami niektórych, a raczej wyjątkowo spotykanych Polek były zazwyczaj Niemiec cywilny: jacyś drobni funkcjonariusze administracyjni, pracownicy okupacyjnego przemysłu i handlu itp., którzy często nie z własnej woli i chęci znaleźli się w czasie wojny na terenie Polski. Zdarzało się też między nimi Austriacy lub Alzatejczy, co miało ich w pewnym stopniu rehabilitować w oczach Polaków.

Lecz autorka „Obrączki ze słomy” nie ułatwia sobie sytuacji. Forsuje temat „niecałego”, wybrańca Anny ubiera w mundur żołnierza hitlerowskiego Wehrmachtu i daje mu karabin w ręce, przez co sprawa nabiera jeszcze bar-

dziej drastycznego wyrazu. W imię prawdy trzeba przyznać, że ten umundurowany Walter Kramer prezentuje się dość niemrawo i jako przedstawiciel „niezwycięzonej” armii wygląda nieszczerze. Twierdzi on ponadto, że jest antyfaszystą i wcale nie kocha Hitlera. Ale gdy po dezeracji, proponując mu, by — choćby tylko ze względu na własne bezpieczeństwo (oczywiście, względne) — wstąpił do polskiej partyzantki, stanowczo odrzuca te propozycje. Mało tego: gdy później, znalazłszy się już w wyszukanej przez Annę górskiej kryjówce, wyznacza z jej plecaka ukryty tam swój bagnet, na pytanie Anny, czy to bagnet „na partyzantów”, odpowiada twierdząco... Dlaczego? Gdyż honor żołnierski — jak mówi — nie pozwoliłby mu poddać się bez walki, chociaż — co już wiemy, ten honor nie przeszkodził mu zdezerterować z wojska dla kobiety i oddać się pod jej opiekę, co było przecież dla niej połączone ze śmiertelnym ryzykiem. Tak więc ten Walter jest antyfa-

szystą z dość szczególnymi „zasadami”. Niekiedy sprawia on zresztą wrażenie jakiegoś Werthera przeniesionego w in na epokę i zagubionego bezradnie w krwawych wirach wojny, a demonstrowana przezeń od wypadku do wypadku meska i żołnierska krępa wydaje się sztuczną i wadliwą.

O Annie powiedzieć by można, że cierpi ona na schizofrenię. W okresach trzeźwej świadomości zdaje sobie ona sprawę, że jej romans z Niemcem jest absurdalny, beznadziejny, kompromitujący i niebezpieczny. Anna nie zapomina bynajmniej, że jej matka zginęła od niemieckiej bomby, a ojciec został zamęczony w obozie koncentracyjnym. Anna nie jest ślepą ani głuchą, widzi i słyszy, jak wygląda w Polsce zbrodnicze, ludobójcze rządy rodaków Waltera. A mimo to wszystko, gdy nadejdzie pora miłosnego oszołomienia, Anna traci poczucie obiektywnej rzeczywistości i wbrew sobie samej, wbrew na rozum i sumienie, go towa jest dla Waltera poświę-

cić wszystko, nie wyłączając własnego życia, i nie zawahałaby się razem z nim zstąpić do piekieł. W uczuciu do Waltera jest coś chorobliwego, obsesyjnego, coś, co wróży klęskę i nieszczęście. I tak jest właśnie finał tego romansu, zabrawionego dość obficie oklwością i niewczesnym sentymalizmem. A co się tyczy tej nary kochanków, za sługusa oni, moim zdaniem, raczej na politowanie, niż na sympatię. Cóż z tego, że Anna w chwilach rozterki, w chwilach, jak mówi, „wewnętrznej niepokoju i uczucia zażenowania”, dla usprawiedliwienia i rozgrzeszenia swej miłości w oczach własnych i cudzych usiłuje szukać argumentów w sferze ponadczasowych, nadrzędnych norm etycznych? Owszem, w zasadzie brzmią one wzniośle i szlachetnie, ale w danych warunkach konkretnych muszą się wydać dziwnie naiwne, jałowe i uderzające niewspółmierne z potwornością takiego zła wiska, jakim w dziełach ludzkości był hitlerizm.

Na szali pozytywów „Obrącz-

ki ze słomy” położyłbym — obok śmiałości niełatwego w realizacji pomysłu pisarskiego — dwa motywy powieściowe, będące raczej dopełnieniem wtku głównego. Pierwszy z nich to sugestywnie odwołany obraz powszedniego dnia okupowanej Warszawy (i nie tylko Warszawy), na który składały się łapanie, kartkowy głód, egzekucje uliczne, żywnościowy smutek i niepewność jutra; zaś motyw drugi to sceny i epizody, ilustrujące styl życiowy pewnej znależnialnej Polki, która z własnej i nieprzymuszonej woli stała się volkadołką, by zapewnić sobie *dolce vita* wśród odmetów wojennej nędzy i rozpaczy. Wszystkie te, jak je nazwał, dopełnienia wtku głównego, nie mają wprowadzić charakteru rewelacji, zawierają jednak treści wartości zachowania w żywej i czujnej pamięci czytelników.

*) Krystyna Nepomucka „Obrączka ze słomy” (Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1966, str. 221 i 3 nbb; cena 14 zł.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



BOSKA GRETA

Z okazji telewizyjnego festiwalu filmów z Greta Garbo w Paryżu, prasa francuska przypomina dzieje tej słynnej gwiazdy filmowej, którą nazywano „Boską Gretą Garbo”.

Czterdzieści lat temu pojawiła się w Ameryce skromniutka szwedzka aktorka Greta Garbo (właściwe nazwisko — Gustafson). Przyjechała wówczas ze swym współziomkiem, słynnym reżyserem Maurice Stillerem, Greta zwracała na siebie uwagę swą nieprzeciętną urodą, wielkimi oczami, pięknym profilem, zagadkowym wyrazem twarzy, ale była nieśmiała, oszłamotana wspaniałością i przepychem Hollywood, nie znała prawie wcale angielskiego. Po dwóch latach Maurice Stiller, chore, zawiądłszy w nadziejach, zrobień kariery w Ameryce, wraca do Sztokholmu i wkrótce umiera. Greta zostaje w Nowym Świecie i nikomu nieznaną aktorką zaczyna swą zdumiewającą karierę. W owych latach Greta Garbo ma trzy atuty, dzięki którym

wybiła się ponad tłum swych konkurentek — urodę, prawdziwy talent i... twarz, która wygląda na tajemniczą. Jej impresario stawia zwłaszcza na te ostatnie jej cechy. Siwarza wokół aktorki auret tajemniczości, każe nosić ciemne okulary, nie pozwala fotografom i reporterom na dokonywanie zdjęć, ukrywa przed natręctwem dziennikarzy, zabrania wywiadów prasowych.

Powstają tak słynne filmy z Greta Garbo jak „Królowa Krystyna”, „Anna Karenina”, „Dama Kameliowa”, „Maria Walewska”, „Grand Hotel”. I choć od ówczesnego wieku ta słynna aktorka nie gra już w filmach, choć wiele słynnych gwiazd widzieliśmy od tego czasu, Garbo nadal pozostaje „boską Gretą”.

CZY MOŻNA DZIEDZICZYĆ TEMAT PRZESTĘPSTWA?

Pamiętamy zapewne wszyscy sprawę holenderskiego malarza Van Meegerena, który po osiemnastu latach został oskarżony o sprzedaż hitlerowcom skarbów sztuki, obrazów Vermeera

i Rembrandta. Van Meegeren został postawiony przed sądem i groziła mu kara śmierci. Wówczas to malarz oświadczył, że dzieła jakie sprzedał Niemcom podczas wojny, były fałszywkami, nigdy nie wyszły spod pędzla Vermeera i Rembrandta, i że to on Van Meegeren obrazy te namalował. Aby udowodnić to, co mówi, już w więzieniu namalował podobne „oryginały” płócien wielkich mistrzów holenderskich.

Obeenie Gérard Sire na pisał scenariusz, według którego producent francusko-niemiecki zamierza nakręcić film o fałszowaniu obrazów Van Meegerena. Film ma trwać 90 minut i przeznaczony jest dla telewizji. Na reżysera wyznaczono André Michela, postać malarza-falszera kreować ma Daniel Gelin, zaś jego żonę grać będzie Macha Meryl.

Jednakże Jacques i Paulina Van Meegeren, syn i córka zmarłego malarza skierowali w tej sprawie skargę do sądu. Twierdzą oni, że mają wyłączne prawo dysponowania tematem o spra-

wie falszerstwa swego ojca i że ten temat sprzedali już jednemu z producentów amerykańskich. Zaprotowali ponadto przeciwko sporządzeniu kopii fałszowanych obrazów Van Meegerena. Kopie te pokazała im być na filmie. Rodzeństwo Van Meegeren zabrania bez porozu mienia się ze spadkobiercami sporządzania jakichkolwiek kopii obrazów-falszyfikatów, jakie wykonał ich ojciec.

Tak więc proces, jaki ma się odbyć w Paryżu, zapowiada się niezwykle interesująco. Sad będzie musiał rozstrzygnąć czy temat przestępstwa lub podejrzenia o przestępstwo można dziedziczyć i dysponować nim na prawach wyłączności oraz czy dozwolone jest bez zgody spadkobierców sporządzanie dla celów filmowych kopii dzieł, choćby owe dzieła były jedynie fałszywkami.

FILM PT. „E=MC²”

Clyde Ware produkuje w Hollywood film o życiu i dziele Einsteina. Jak wiadomo Albert Einstein (1879-1955) był jednym z największych fizyków wszechświata. Był twórcą teorii względności, współtwórcą teorii fotonów i współtwórcą teorii ruchu Browna. W roku 1921 otrzymał nagrodę Nobla. E=MC² jest jednym z podstawo-

wych wzorów teorii względności, bez której nie byłoby możliwe rozbicie atomu.

INICJATYWA WYDAWCY

„Chce pan napisać powieść historyczną? Prosimy zatelefonować do nas i podać nam, jaki okres historyczny pana interesuje. W ciągu ośmiu dni przed pana domem zjawi się ciężarówka z wszelką potrzebną panu dokumentacją”.

Z taką mniej więcej ofertą paryskie wydawnictwo Flammarion zwróciło się do kilku pisarzy. Henri Flammarion za-

angażował specjalnych dokumentalistów i erudyty, których zadaniem jest przygotowywanie dla pisarzy odpowiednich książek i innych materiałów, niezbędnych dla napisania powieści historycznej.

Na ofertę wydawnictwa odpowiedziało już kilku znanych pisarzy francuskich. I tak np. François Sagan napisze powieść o Ludwiku II Bawarskim, Jules Romains o Marku Aureliusz, Pierre Boulle wybrał sobie temat czwartej wyprawy krzyżowej, a Antoine Blondin napisze książkę o marszałkach Napoleona.

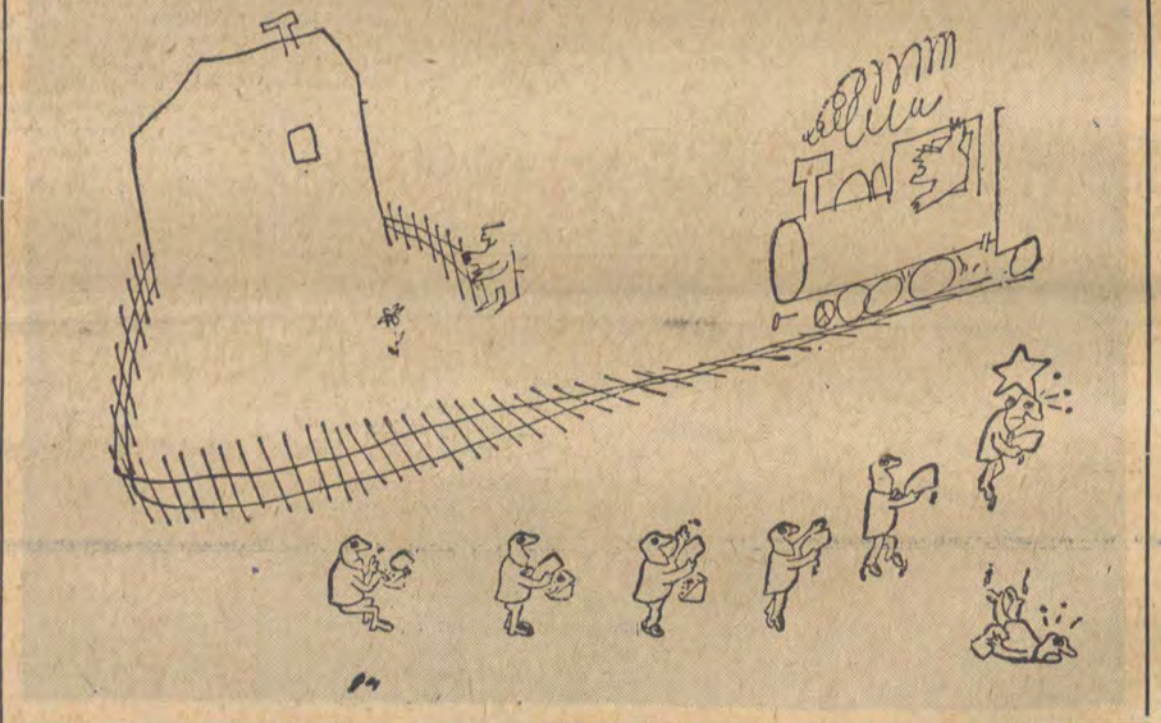
ANTOINE BĘDZIE DIPLOMATĄ?

Długowłosego śpiewaka, w ostatnich miesiącach ogromnie we Francji popularnego, Antoine, ukończył studia inżynierskie. Obecnie zamierza obrać karierę dyplomatyczną, gdyż wstąpił do szkoły kształcącej przyszłych dyplomatów, gdzie studiując na wydziale stosunków międzynarodowych, Antoine, który na estradzie występuje w koszuli w kwiatki, przyjeżdża do szkoły bardzo wytwor-ny i w czarnym garniturze. Dyrektor uczelni w drodze wyjątku zgodził się, żeby słynny piosenkarz

zachował swą fryzurę, w zasadzie bowiem w szkole nie wolno pojawiać się w perukach, z długimi włosami i w ekscentrycznym stroju.



Z satyry czeskiej



POLONICA

MATUSZEWSKI O ZWIĄZKU KRYTYKÓW

Tygodnik „Kultury 24” wychodzący w Bratysławie, zamieścił w nrze 48 wypowiedzi kilku krytyków literackich, którzy obradowali 3-9 XI ub. r. w Warszawie. Znajduje się wśród nich wypowiedź Ryszarda Matuszewskego, odpowiadającego na pytanie: „Co by się zmieniło w poziomie i postawach krytyki literackiej gdyby krytycy polscy mieli w jakiś międzynarodowy organizację? Literaci mają swoje międzynarodowe związki, czy dlatego literatura jest lepsza?”

Odpowiadając na to pytanie, Ryszard Matuszewski porównał między literaturą, a krytyką i analogii do związków literatów. Ryszard Matuszewski gorąco poparł ideę powołania do życia międzynarodowego forum dla krytyki, która przecież bez dyskusji i wymiany poglądów obumiera. (w)

ANDRZEJEWSKI W CZECHOSŁOWACJI

W tym samym numerze „Kultury 24” zamieszczono recenzję książki Jerzego Andrzejewskiego „Idzie skazane na śmierć”. Autora Hainy Ivanekowej. Recenzja nosi tytuł „Andrzejewski pełen niespodzianek”, a tytuł książki w tłumaczeniu — „Mój horyzont preskakuje”. Autorka nazywa książkę szokującą szczególnie dla tych, którzy śledzą drogę twórcy Andrzejewskiego. Przypomina ją pokrótce pisząc, że Andrzejewski zadebiutował przed wojną jako pisarz katolicki i rokował, że wyróżni na pisarza formatu Bernanosa; w niewiele lat później swoim sławnym „Popiołem i diamentem” oraz broszurą „Partia i twórczość pisarza”, stał się rzecznikiem walczącego marksizmu, wreszcie w parę lat później w historii literatury zajął miejsce waleświciwa. W dalszym ciągu autorka przeprowadza dowód, że mimo tych przeobrażeń Andrzejewski był zawsze pisarzem wyjątkowo wiernym sobie i sprawie, które go absorbowali. Dalej, omówiwszy szczegółowo powieść, kończy recenzję następującym stwierdzeniem: — W swej ostatniej powieści Andrzejewski w pełni zrealizował talent. Książka zadziwia bogactwem form i stylów od subtelnej brzońskiej liryki po ostrą groteskową parodię. W końcu leży zależność ze stylem na pozostałe szczegóły. Interesujący język, książki, znakomicie balansujące na pograniczu banału i finezji, wulgarności i elegancji. (w)

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Dzień odpoczynku po powitanie Nowego Roku. Właściwie to nie wiadomo dlaczego wszyscy witają go tak radośnie. W końcu pewnie jest tylko jedno — że znów jesteśmy o rok starsi, a to jednak znacznej części społeczeństwa nie sprawia już żadnej przyjemności. Mimo to wszyscy cieszą się z tego nowego roku i witają go entuzjastycznie jak nowego zwierzętka, który właśnie obejmie posadę i któremu trzeba się na wszelki wypadek przypodobać okazując zachwyt jego przylsciem. Na ogół skutkuje to znacznie słabiej niż wobec nowego szefa. Nie szkodzi, za 12 miesięcy pchnięcie z powitaniem będzie równie entuzjastyczne.

PONIEDZIAŁEK

Na wolowej skórze by nie spał dyskusji o przebudowie Placu Wolności. Zabytkowy, czy nowoczesny? Dyskusje się sko-

czyły, plany przebudowy zostały zatwierdzone ku zadowoleniu jednych i ubolewaniu innych. Zwyciężyła koncepcja nowoczesności, jednopiętrowe budynki zastąpione zostaną czteropiętrowymi blokami. Zawsze kiedy się przysłuchuje dyskusjom na temat: zachować zabytkowy charakter, czy wprowadzić nowoczesność, jestem w prawdziwym kłopotcie. Bo i jednym i drugiem racjom nie mogę nie przyznać słuszności. Na szczęście nikt mnie o zdanie nie pytał, mogę więc spokojnie kontemplować walory koncepcji nowoczesnej, ciesząc się radością tych, którzy tam zamieszkają.

Przewidując kłopoty się już o to, co powinno być na nowym Pl. Wolności sprzedawane. Wydaje mi się, że to też nie powód do zmartwień. Reprezentacyjno — unikatowe sklepy mają to do siebie, że są nieustannie obleżone, a ich specjalizacja nabywać w zanikającym handlu prywatnym, który wszakże

wykazuje jeszcze sporo przedsiębiorczości. Z tego punktu widzenia niepokoi mnie przyszłość dojrzewającego do otwarcia domu handlowego „Magda”, który ma mieć drugi podobno co do wielkości w kraju supermarket spożywczy.

Handel uspołeczniony też miewa czasem pomysły. Restauracja „Halka” na przykład chce we własnym zakresie zaspokoić tęsknoty łodzian o posiadaniu skansenu. „Halka” ma zamierzać stać się skansenem gastronomicznym. Staropolskie potrawy podawane w staropolskich naczyńiach przez staropolsko ubraną personel. Nie wiem tylko, czy język będzie staropolski, a jeśli tak, to jak będzie brzmiało słowo „kolega”?

WTOREK

Specjalistom od zabytków i historii Łodzi zaprzęta głowę wciąż nie rozstrzygnięty problem: czy zabytkowy budynek w ówczesnym domu przy ulicy Piotrowskiej 114 był kiedyś synagoga czy też nie. Ktoś kiedyś powiedział, że była to synagoga i choć nie wiadomo kto i w jakiej podstawie, teraz trzeba udowodnić, że nie jest to prawda. W każdym razie przed samą wojną były tam hale targowe, bodajże jatkę miesną i entuzjastki dawnej Łodzi uważają, że hale

czy synagoga, ale obiekt jest zabytkowy i należy go konserwować. Tymczasem niszczy on (jest to własność prywatna) i mimo dwukrotnego nakazu — remont nie został przeprowadzony. Po trzecim niezrealizowanym nakazie konserwator ma prawo wejść właścicielowi posesji na hipotekę. I ani chyb, że tak zrobi.

ŚRODA

Na ostatniej Radzie Główniej Wyższego Szkolnictwa Artystycznego Ministerstwa Kultury i Sztuki, dyskutowano sprawy pomocy przemysłu dla szkół artystycznych, głównie dotyczyło to szkół plastycznych. Opracowany został nawet projekt pomocy tym uczelniom. Jeśli jednak chodzi o łódzką WSSP, to jej współpraca z łódzkim przemysłem jest realizowana od dawna. Przemysł lekkiej funduje Szkole 12 etatów dydaktycznych i technicznych, dostarcza maszyn, urządzeń technicznych i innych pomocy naukowych. Niektóre ćwiczenia i zajęcia studentów odbywają się w zakładach pracy. Ostatnio Zjednoczenie Przemysłu Skórzanego wyposażyło uczelnię w kompletny warsztat obuwniczy, do którego urządzenia sponowadono z Chelmka. Minister przemysłu lekkiego obiecał też partycypować

finansowo w budowie nowego gmachu dla Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Nie mówiąc o tym, że przemysł zakupuje projekty — prace studentów, że ich samych zatrudnia po ukończeniu studiów jako projektantów we wszystkich placówkach wzorujących w Krakowie.

CZWARTEK

Nie wszyscy jednak absolwenci szkół plastycznych znajdują satysfakcję po ukończeniu studiów. Wrocławską WSSP kształci, zgodnie ze swą specyfiką, projektantów ceramiki szkła, głównie dla dołnośląskich hut. Marzą oni sobie o stworzeniu terminu „polskie szkło”, który oznaczałby wyroby piękne i nowoczesne, podbijające rynek krajowy i zagraniczny. Tymczasem rzeczywistość jest bezzłotna. Nabywcy zagraniczni nie chcą nowości, przyjeżdżają z własnymi wzorami, bardzo, tradycyjnymi.



ni. Angliści na przykład od 15 lat zamawiają wcale nie same wzory i słysząc nie chcą o żadnej nowo-

ściowości w szkole. Producenti krajowi mają w tym względzie upodobania i manery angielskie. Piękne projekty stoją na sklepowych półkach, w szklanych pudełkach, nie są używane, nawet we Wrocławiu. Polski odbiorca wcale nie jest tradycyjny i chętnie by te nowości oglądał w swym domu.

PIĄTEK

Całkowicie przedpremierowa atmosfera panuje już w Teatrze Wielkim. Odbijają się wszelkie możliwe próby od prób czterech przedstawień, scenicznych, akustycznych, klimatyzacji, po... próbę pożaru włącz- nie.

Teatr Wielki jest gmachem prototypowym w wielu urządzeniach i mechanizmach, a wszystkie, bo w 99 procentach, wykonane zostały przez zakłady łódzkie, przez że wszystkie te urządzenia zdały praktyczny egzamin, jest więc zasługą łodzian. Licznym, a bezimiennym budowniczym teatru należy się nagroda. 14 bm. odbędzie się oficjalne przekazanie gmachu dyrekcji Teatru Wielkiego, wreczenie nagród i odznaczeń najbardziej zasłużonym budowniczym oraz przedstawienie „Straszny Dwór” dla zalog budowlanych.

Wobec licznych zgłoszeń

SOBOTA

Sporo czasu minęło, od kiedy zapowiedzieliśmy otwarcie kabaretu w kawiarni „Grand”. Wydawało się wówczas, że Estrada doszła do porozumienia z „Orbisem” i że kabaret „Kpiarz” zaprezentuje się również łodzianom. Tymczasem kabaret dalej jeździ po województwie (od czego zresztą nie odmawiamy), ale w Łodzi dalej nie występuje (do czego bardzo go namawiamy). W grę wchodzi tu jakieś przepisy handlowo-kulturalne, czy też brak przepisów, nie znam się na tym, wydaje mi się jednak, że jest tu jak w piosence: „I chciałabym i boję się”. Z tym, że stanowisko takie reprezentują obie strony. Chciałyby zorganizować ten kabaret, ale boją się. Odpowiedzialności finansowej i ryzyka z nią związanej. Kto pierwszy, kto odważy?

T. WOJ.

MARIA
KORNATOWSKA

„Cienie
zapomnianych
przodków”

Zwracano już wielokrotnie uwagę na fakt, że w sztuce współczesnej niemal obsesyjnie powtarza się motyw powrotu do dzieciństwa. Jako do raju na zawsze utraconego, krajiny autentyczności, nawiązań marzeń i czystych uczuć. Człowiek naszych czasów próbuje rozpamiętać uciec przed przytłaczającą go rzeczywistością teraźniejszości w krainie bezpiecznej przeszłości, gdzie wszystko może się jeszcze stać i gdzie bezsensowne słowa wyliczanki Asa niosą z sobą Feliniego „8 i 1/2”, zdają się stanowić magiczny klucz prawdy. Tęsknota za rajem dzieciństwa jest także poszukiwaniem utraconego czasu, chęcią odnalezienia go i zatrzymania. Nasza epoka przyniosła dwa genialne wynalazki służące zatrzymaniu mijającego czasu: film i telewizję. Żadna inna sztuka nie potrafi w sposób tak dosłowny jak film „ocalać od zapomnienia”.

Zrozumiał to znakomicie radziecki reżyser Paradžanow realizując swój film „Cienie zapomnianych przodków”. Baśń stanowi jedną z najdoskonalszych form powrotu do dzieciństwa. Jest domena oczywistego i nienaruszonego ładu moralnego, uczuć wielkich i ostatecznych. W baśni, jak w zaczarowanym zwierciadle odbija się świat naszych tęsknot, mitów i wyobrażeń, świat dziecięcej ludzkości.

Filmowa baśń Paradžanowa jest próbą ucieczki w krainę mitów uniwersalnych i spraw absolutnych, a zarazem próbą przywołania tego, co bezpowrotnie minęło, przeszłości własnego kraju, cieni zapomnianych przodków.

Jarosław Marek Rymkiewicz w przedmowie do wyboru hiszpańskiego romansu wprowadza pojęcie „czasu poetyckiego” czyli czasu znaczenia niezmiennych i absolutnych oraz czasu historycznego, zmiennego i ulotnego w swej konkretności i określoności. Ożóg wydaje się, że baśń filmowa Paradžanowa utkana jest z obu tych czasów, poetyckiego i historycznego, czasu niezmiennych i powszechnych archetypów oraz odchodzącej w zapomnienie wsi i narodowej przeszłości. „Cienie zapomnianych przodków” owiane są nostalgą za młodością człowieka, pełną nadziei i namiętności i za barwną, burzliwą młodością kraju. Pierwsze słowa filmu informują prawdziwie, że Huculszczyzna była ziemią zapomnianą przez Boga i ludzi, ale świat ekranowej rzeczywistości stworzony przez Paradžanowa jest tak urzekająco piękny, że szybko o tym zapomnimy.

Wbrew pozorom etnograficznego dokumentalizmu (rejestrowanie rozmaitych obyczajów, obrzędów i pieśni ludowych z rejonu Huculszczyzny) jest to film prawdziwie liryczny, poetycka ballada o

miłości wykraczającej poza wymiary życia i śmierci, o wiecznym trwaniu tego co przemija, o pięknie młodości i o nieustannym powtarzaniu się i współistnieniu życia i śmierci. Paradžanow konstruuje swój film w oparciu o zasady poetyki ludowej. Więcej, utożsamia się z widzeniem świata właściwym ludowej mądrości. W owym świecie rozgrywa się odwieczna walka pomiędzy siłami dobra i zła, i od tych sił właśnie zależą losy ludzkie. W owym świecie panują jeszcze silne i pierwotne namiętności.

Paradžanow wykorzystuje ulubione motywy i wątki baśni i przypowieści ludowych: np. złego czarownika, miłość łączącą dzieci zwaśnionych rodów, miłość przekraczającą granice śmierci, fatalizm losu itd. Podobnie jak w lirycznej ludowej dramacie bohatera racjonalny zostaje na wspaniałe tło przyrody, a raczej ściśle z nią wtopiony. Zmieniając się pory roku i pejzaż pełnia funkcje symbolizacji i tak, jak w twórczości ludowej stanowi jeden z zasadniczych elementów prowadzących narrację filmu. Kiedy nasz bohater cierpi straszliwie po śmierci ukochanej, cały świat traci barwy, staje się szary i smutny jak jego serce. Pewne momenty opowiadania „zalatwane są” w sposób identyczny, tak w ówczesnej ludowej przy pomocy charakterystycznych rekwizytów o funkcji symbolicznej określonej właśnie przez poetykę twórczości ludowej (np. jabłko, jagody, sarenka itd.). Paradžanow bardzo konsekwentnie buduje swoją poetykę rzeczywistości. Centralne miejsce zajmuje w niej oczywiście miłość, miłość wiążąca się nierozdzielnie z młodością. Iwan poznaje wybrankę swego serca jeszcze w dzieciństwie. Ich wzajemne uczucie dojrzewa wraz z nim, jest przedłużeniem dziecięcych zabaw i przyjaźni. Umierając Iwan wraca do krainy dzieciństwa i młodości. Nieprzypadkowo zresztą każde s'e pochował w stroju z lat młodzieńczych.

Śmierć zgodnie z ludową filozofią traktowana tu jest jako jeden z elementów życia. Związani z biologicznym cyklem natury górale nie dostrzegają w śmierci, czegoś nieodwracalnego, ostatecznego. Stępa pogrzebowa stanowi znamienity przykład wierności i bujności życia, które płeni się tuż obok śmierci. Człowiek umiera, życie trwa dalej. To się nam wszystkim wydaje aż nazbyt okrutne. Ale przecież właśnie w tym życiu trwają wciąż nasze cienie, cienie zapomnianych przodków. W gruncie rzeczy pozornie prosty i oczywisty film Paradžanowa przy bliższej analizie okazuje się nader złożony, pełen refleksji i znaków zapamiętania.

Poza wszystkim, jest to jeszcze dużej klasy dzieło filmowe, znakomicie reżysersko i zdjęciowo (operator Ilieko) zrealizowane. Filmom w bardzo silnym stopniu stylizowanym grozi zawsze opierowa statyczność. Tymczasem „Cienie zapomnianych przodków” są filmem niesłychanie dynamicznym, przede wszystkim dzięki szalonej wprost ruchliwości kamery.

W „Cieniach zapomnianych przodków” sporo jest momentów prawdziwie brawurowych, jak choćby sekwencja zaklania burzy, tanecznego kręgu weselnego itd. Znakomicie jest niewątpliwie w swej dramatycznej powściągliwości i okrucieństwie zarazem scena w karczmie. Bardzo poetycko i świeżo rozegrana została sekwencja śmierci Iwana.

We wszystkich tych scenach ogromna rola odgrywa barwa. Podporządkowana ona została funkcji dekoracyjnej, zupełnie oczywistej w filmie tego rodzaju, opartym na folklorze ludowym oraz funkcji symbolicznej. Szczególnie pięknie i uderzająco plastycznie są sceny rozgrywające się na białym tle śniegu. To białe tło stanowi jak gdyby kłamek spinający całość.

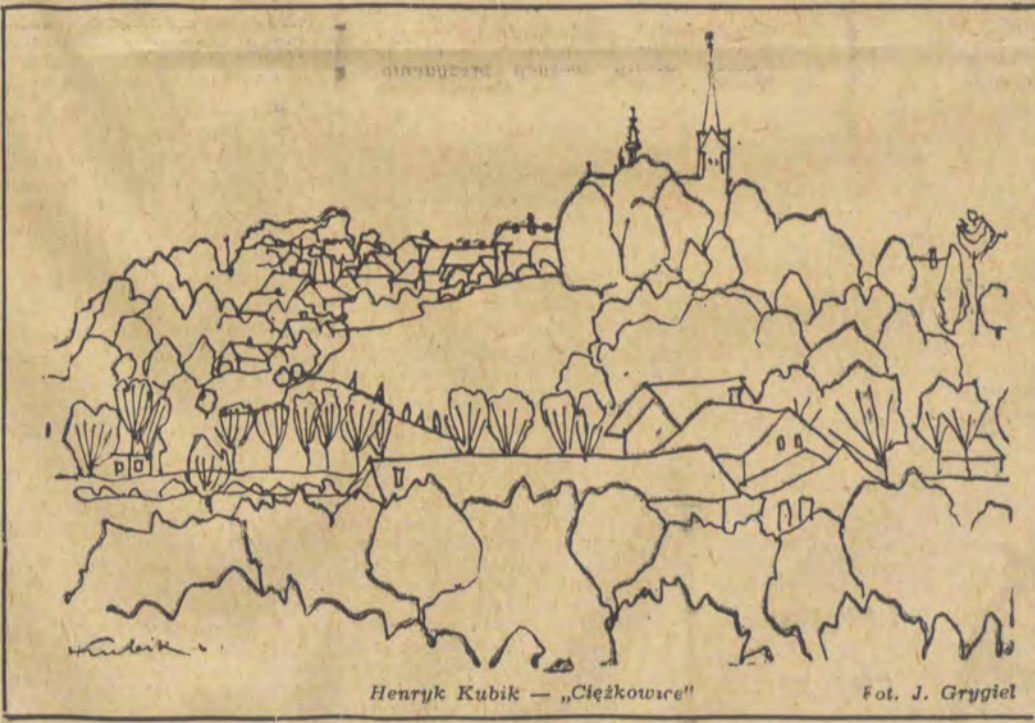
Czerwień dominuje w scenach śmierci, gdy ekran zalewa się jak gdyby krwią i w scenach miłosnych, które relacjonowane

są właśnie przy pomocy czerwonych rekwizytów (np. parasolka i jabłko, jagody itd.). Tym sposobem także i w płaszczyźnie rozwiązań barwnych, czysto plastycznych, powraca sprawa związku życia i śmierci, miłości i nienawiści ich związek niemal fatalnego, ponieważ właśnie miłość, najwyższy przejaw życia, staje się przyczyną śmierci. Czerń symbolizuje zło (czarna owieczka, czarownik), kolor złośliwości radości i zmartwychwstania (tańce weselne). Koncepcja plastyczna „Cieni” zapomnianych przodków” jest niewątpliwie bardzo konsekwentna i wyrafinowana. Ale nigdy też nie staje się rzeczka sama w sobie. Stanowi po prostu jeden z czynników konstruujących tę piękną sagę o miłości silniejszej niż śmierć.

Bez wątpienia „Cienie” zapomnianych przodków” są jednym z bardziej interesujących filmów, jakie pojawiły się na naszych ekranach.

SPEKTAKLE tygodnia

Film	Widzów
WISŁA	
„Stazione termini” 23 seanse	4.694 — 60%
WŁÓKNIARZ	
„Małżeństwo z rozsądku” 30 seansów	13.109 — 85%
Teatry	
NOWY	
„Pan Drops i jego trupa” 6 spektakli	4.200 — 100%
„Kowal, pieniądze i gwiazdy” 1 spektakl	400 — 70%
„Sen srebrny Salomei” 1 spektakl	350 — 50%
NOWY Mała Sala	
„Ojciec” 5 spektakli	750 — 75%
„Anioł na dworcu” 1 spektakl	200 — 100%
POWSZECHNY	
„Tajemnica starej wierzy” 7 spektakli	4.676 — 100%
„Tango” 2 spektakle	1.278 — 96%
JARACZA (w sali teatru)	
ROZMAITOŚCI	
„Namiestnik” 8 spektakli	4.400 — 87%
7.15	
„Dobrze skrojony frak” 2 spektakle	844 — 100%
OPERETKA	
„Życie paryskie” 6 spektakli	4.895 — 75%



Henryk Kubik — „Cieślakowie”

Fot. J. Grygiel

KRONIKA
Anty
telewizyjna

TELEBİGOS

Sylwester i Nowy Rok miały przebieg sympatyczny, choćby nie było rewelacji. Jeśli dominować podroz w czasie i przestrzeni, wyjątkowo konsekwentnie przeprowadzona, a mam na myśli „Divertimento op. 4” Jeremiego Przybory. Nawet Irena Kwaśkowska odbiegała cokolwiek od swoich nazbyt ograniczonych sposobów.

Gorzej przedstawiała się szopka noworoczna. Zniechęcony, wyłączyłem aparat o godzinie zero minut czterdzięci. Po prostu, chociaż jestem czytelnikiem pism i bywam w kawiarniach, przestałem cokolwiek rozumieć. Postacie i tematyka pochodziły ze zbyt wąskiego kręgu życia publicznego, jego spraw. Nie sadzę, żeby dało się zwalić winę wyłącznie na utalentowanych skądinąd autorów, prezentujących dobre przecież rzemiosło. Samo założenie tej szopki przeczyło nazwom o niej tradycyjnym pojęciom. Nie z każdą tradycją można bezkarnie zrywać. A już parodiowanie Lucjana Kydrvńskiego to coś jak jeszcze jeden dowcip o teściowej. Zwalazca, że sam Kydrvński, którego chętnie słucham, prowokuje do swoistej ironii, co może stanowić jeden z ważnych elementów tego niewątpliwie popularnego i niełatwego popularyzacji. Jak co wiec parodiować i to tak często? Nie zapominałbym bowiem, że i estra da chętnie nadużywać naszego gwiazdora.

Podsumowanie umiejętności konstruowania sytuacji, kreowania bieżącej polityki, „Hibnosa” Antoniego Cwojdzińskiego, w której partnerowali Zofia Mrozowska i Kazimierz Rudzki. Cwojdziński znowu podał sprawę psychoanalizy. Psychoanalizy, której celem w tym wypadku nie jest „przystosowanie” pacjentów, ale „leczenie duszy”. Bożactwem filmowej ilustracji odznacza się „przebieg najważniejszych wydarzeń

1966 roku”, budził westchnienia na temat zbyt ubogiej ilustracji w potocznej praktyce dziennika telewizyjnego. Dobrze się stało, że pokazał film archiwalny „Geniusz sceny”, poświęcony aktorstwu Ludwika Solskiego. Z podobnym przebiegiem oglądałem ten film przed wojną. Znakomitego aktora poznaje się nie tylko na podstawie jego gry, ale i na podstawie jego tekstu. Ujmując sprawę pod tym kątem, trzeba powiedzieć, że bożactwo talentu, bożactwo środków naliaskrawie może wystąpiło w „Nie spodzianie”, gdy Solski wyplątał trzy kieliszki wódki. Stąd dąbny był napis na temat tego epizodu. Podobnie jak i na temat Wiarusa.

Jeszcze raz można wyrazić zdziwienie, że dotąd nie sięgnięto po sztuki K. H. Rostowskiego i A. Nowaczewskiego, przecież ich dzieła czas oddzielił od ich działalności politycznej, a jednocześnie także nadużywa się adaptacji utworów niescenicznych, jest też jednym przykładem takiego nadużycia były „Niebezpieczne związki”, francuska powieść z XVIII w. Jeśli ktoś jej nie zna, bardzo źle może o niej pomyśleć. Z tego więc względu oddajmy głos tej tu macowi, i tak w tym wypadku miarodajnemu Boyowi-Zeleńskiemu:

„Silna i zwarta jest budowa tej książki. Pisana w listach z zachowaniem wytworzonej sztuki epistolarniej, tak wysoko stojącej wspaniale, mimo to nie zawiera, można powiedzieć, ani jednego zbyt technicznego zdania: każde ma swoją wagę, każde jest dotknięciem pedzla wzbożającym całość obrazu o jakiś nowy szczegół. Na formie ilustrowania nie cierpi również akcja powieści: od pierwszych kart aż do końca biegnie tędy w skrajach i powikłaniach, aby ku końcowi pomknąć wartkim pędem ku katastrofie...”

Ku końcowi XIX wieku, w epoce psychologicznego romanu, imię autora Niebezpiecznych związków nabiera nowego blasku...”

Teatr Niesieński zapowiadał dwie humoreski Cwojdzińskiego, ale pokazał tylko jedną, „Syrena”. „Syrena” był Janusz Kłoskiński, niestety, tym razem znany aktor nie wypadł dobrze, bo właśnie porzucił na wywołaniu tekstu. Ale i tak uważam, że Zakład Gastronomiczny powinien zaprzestować przesyłania wystawianiu takich utworów jak „Syrena”, bo to podburzanie konsumentów!

Jan Hussar

PS. 7 stycznia w hallu naszej Biblioteki Uniwersyteckiej otwarto wystawę z okazji dziesięciolecia działalności łódzkiego ośrodka telewizyjnego czyli LOT. Skromniutki, przynoszący jednak wiele zdykt i liczb, pokazujący literaturę o TV. Warto wystawę obejrzyć, by to i owo odświeżyć w pamięci lub sobie uświadomić. Warto też przypomnieć, że przy Katedrze Teorii Literatury istnieje Zakład Wiedzy o Filmie, kierowany przez doc. dr B. W. Lewickiego.

Skoro już jesteśmy przy historii TV, warto także dodać, że przed wojną prowadzono u nas prace doświadczalne nad telewizją, oczywiście czarno-białą, doświadczalna stacja mieściła się na korytarzu piętra „Prudentialu”, obecnie hotelu „Warszawa”. J.H.

ANTONI SZRAM

Lekcja konfrontacji

(Kartki z wystawy)

Nawiązaliśmy bezpośredni dialog kulturalny ze Smoleńskiem goszcząc w Łodzi delegację kulturalną, oglądaliśmy jedyną w swoim rodzaju wystawę. To nie przesada, w dziedzinie wzajemnej współpracy na szczeblu kultury dużo się zrobiło. Znaczenie wiedzy między narodami jest szczególnie doniosłe.

Goszcząc Smoleńsk, m. in. J. Kallin — pamiłnik Wydziału Kultury WRN w Smoleńsku, Albert Siergiejew — przewodniczący smoleńskiego oddziału Związku Plastyków RSFR, czy Solomon Szestopal — główny architekt Smoleńska, rozentuzjuszowani polską sztuką współczesną uczynili wszystko, by w Łodzi przybliżyć sztukę radziecką dla umocnienia polskiej sztuki w ich olbrzymim kraju. Dyskusje, jakie miały miejsce podczas liczo-

nych spotkań z łódzkimi środowiskami artystycznym, twórcami w ich pracowniach, w Zarządzie Okręgu ZPAP, w rektorze Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, — mogą temu świadczyć. Pytałem Alberta Siergiejewa o wrażenia — odpowiedział: „Wasza PWSSP posiada kapitalne osiągnięcia. Jej profil artystyczny, z którym zapoznał nas rektor Zdzisław Głowacki, zasługuje na duże uznanie i spójną rzetelność na Ziemi Radzieckiej. Dotyczy to wszystkich dyscyplin plastycznych, przede wszystkim zaś osiągnięć w dziedzinie przemysłu artystycznego, poligraficznego (dosłownie Pracownia Graficzna ZPAP — katalogi, wydawnictwa, reprodukcje). Nie mieliśmy czasu zobaczyć wszystkiego. Chcemy więc na waszą poglądową wystawę (...)”.

Ogromny ciężar gatunkowy posiada Okręgowa Wystawa Smoleńska, przemawiająca do widza zestawem: malarstwa, grafiki, rzeźby, ceramiki, a także przepiękna kolekcja tkanin llnianych. Twórczość wystawców, z uwagi na ich ustaloną już pozycję artystyczną, jest na pewno reprezentatywna, nie wyczerpuje jednak wszystkich problemów nurtujących sztukę Smoleńską. Zestaw zawiera zarówno obrazy, rzeźbę, grafiki, najbardziej wartościowe i cenne, jak i bogate w problematykę społeczną, jak i przykłady interesujące ze względu na propozycje formalno-artystyczne (wielkie płótna W. F. Samarina, B. A. Łaskina, rzeźba A. G. Siergiejewa, F. T. Zorina). Z wieloletniej masy dzieł realistycznych, latwych w percepcji wyłania się poważna ilość prac o wysokim poziomie wykonawstwa, szczególnie akwaforty i linoryty W. I. Rużo i W. A. Prokofiewa. Obecność rzeźbiarzy, laureatów Nagrody Leninowskiej i wielu państwowych: S. T. Konienkova, czy L. E. Kierbiela (autor pomnika Karola Marksa w Moskwie) — podnosi bardzo rankę artystyczną i tak ambitnego zbioru. Wystarczy wskazać granitowe popiersia „Student”, „Dzienniczka ze Smoleńska” i chyba najlepszą pozycję, głowę „Fiedora Konia” (pa tyrowany cement), by stwierdzić, że smoleńska rzeźba stanowi słuszną przedmiot ich dążeń. Jest solidnym studium człowieka, natury, w którym zachowany został „klasyczny” moment równowagi między tematem a jego plastyczną wizją. Widać dawną tradycję, widać pewne narzucone przez dzieł dzisiejszy ukształt formy, środki przekazu są świeże, czasem ledwie zamaskowane („Fiedor Kon”) i, a także sugestywny Wśród nich — odlewy w brązie z prac wykonanych w glinie („Bokser”, „Robotnik”, „Kowal” — A. G. Siergiejewa).

Nurt przedstawiający (w bardzo szerokim rozumieniu tego słowa) we współczesnym malarstwie smoleńskim sięga dawnych tradycji, przyjęto go dziś kojarzyć z pojęciem Pieredwizników — a więc swobodny stosunek do tematu, monumentalność narracji o ludziach, wyrażeniach i życiu. Fakt, że przez większą część dotychczasowego okresu, pierwsze państwo socjalistyczne trwało w tradycji — zamazuje nieraz powierzoną obserwatorom jedną z najbardziej uderzających cech sztuki radzieckiej: znamioną rozdzielenia, wartość społeczną, aktualną rolę dydaktyczną — jak dzieła, które orientowałyby w

osiągnięciach gospodarczych i kulturalnych, wizualnie utrwalając historię narodów radzieckich. Tak też należy rozumieć sztukę smoleńską i na tym polega jej działanie. Działanie cyklu grafik: „Smoleńsk”, W. I. Rużo, olejów: „Poranek”, „Wielki Rostów” — N. I. Aglejewa, „Flisacy” — W. A. Łaskina, tempery: „Smoleńsk” — W. F. Samarina i wielu innych: K. G. Dorochowa, B. F. Rybczenkova, W. F. Sztrachina, F. S. Szurplina.

Z wieków tradycji walk o wolność człowieka zrodziła się sztuka F. S. Szurplina. Zastępnym działacz sztuki, laureat Nagrody Państwowej, prezentuje prace o znamienitych tytułach: „Uczestnik obrony Moskwy”, „Bohater Związku Radzieckiego Kalabuzkin 1941”, „Chłopski syn”, „Chleb” (fragment obrazu „Dwudziestopięćdziesiątka w odwiedzinach u chłopów”). Można powiedzieć, że te obrazy należą jakby do innego świata, choć powstały niedawno, na przestrzeni I połowy XX wieku. Swym programowym „realizmem”, zarówno w sposobie ujęcia natury, jak też w doborze tematów (ulubione sceny rodzajowe) oddziaływała obecność człowieka, miara treści społecznej zawsze aktualnych — wszystko o układzie kompozycji dość

tradycyjnym, z zamilowaniem do spokojnych barw, a wszystkim po to, aby działać uderzeniowo, wprawić, aby przekazać historię, obyczaj, idee, Wyraz epoki, bez wymuszania zainteresowania u odbiorcy, by pozwolić mu na odczytanie tych treści jednym spojrzeniem.

O wiele mniej przypadki mi do gustu wniósł przypadkiem, a to z przyczyny wyraźnego uniwersalizmu, nawet w kolorystycznym opracowaniu szkliska. Powiem szczerze — pokazane komplety stołowe, bufetowe i kredensowe interesują ze względu na tworzywo, lecz nie mogą zachwycać schematyczną kompozycją.

Natomiast fascynują nas drewniane „światki” twórcy-samouka F. T. Zorina oraz innych artystów-amatorów, rekrutujących się ze środowiska robotniczego i inteligencji Smoleńska.

Wystawa, adresowana do nas w sposób możliwie najszerszy, zobrażowała piękno Ziemi Smoleńskiej, w tła płócien, grafik i tkanin opowiadających historię regionu, architektury, krajoznawstwa, przedmioty, kostiumy, itp., z wnikiwością świadcząca o niewątpliwym zaangażowaniu i patriotyzmie. Ta lekcja konfrontacji nie pozostawiała nas obojętnymi.

ZBIGNIEW SKIBICKI

Następcy pana Wołodyjowskiego

Na jednym z quizów młodzieżowych przeprowadzono coś w rodzaju ankiety, w której zapytano nastolatków jaką gałąź sportu w naszym kraju uważają za narodową o największych tradycjach. Zdecydowana większość pytanypych wypisała na kartkach szermierkę!

I chyba mieli rację ci młodzi ludzie. Bo gdy każdy z nas sięgnie pamięcią do minionych lat, kiedy od sienkiewiczowskiej Trylogii nie sposób było oderwać 15-letniego chłopca — to właśnie sylwetka pana Wołodyjowskiego — mistrza fechtunku, słynnego pogromcy olbrzymiego Bohuna, który doskonale władał szabłą — pasjonowała czytelnika najbardziej. A kilkunastu synów Skrzetuskiego od najmłodszych lat uczono właśnie najtajniejszych arkanów pojedynku na szable. I nie jest dziełem przypadku, że najdłuższym pasmem sukcesów w okresie międzywojennym i po odzyskaniu niepodległości może poszczycić się na arenach międzynarodowych nasza szermierka, a zwłaszcza polska szabla! Kontynuujemy coraz intensywniej tradycje narodowe tej dyscypliny sportu koronując swoje wysiłki kilka lat temu na mistrzostwach świata w Gdańsku wieloma medalami we wszystkich trzech broniach!

Łódź odgrywała dawniej w polskiej szermierce nieposłuszną rolę, że wspomnimy jedynie takie nazwiska jak Kantor, Banaś, Bochman, Rybicki. A dziś? Oddajmy na chwilę głos prezesowi Łódzkiego Okręgowego Związku Szermierzczego Bolesławowi Banasiowi.

— Od kilku lat nasz związek boryka się z trudnościami uzyskania sali specjalnie wydzielonej i przystosowanej dla ośrodka szermierzczego. Miałby on za zadanie nie tylko szkolenie kadry łódzkiej seniorów i juniorów, lecz także doskonalenie tak potrzebnych instruktorów szermierki oraz sędziów. Zdaje-

my sobie doskonałą sprawę z tego, że nieuzyskanie sali na stworzenie właściwego punktu pracy, uniemożliwiłoby postawienie szermierki łódzkiej na odpowiednim poziomie. Dotychczasowe warunki dla rozwoju tej dyscypliny sportu są w Łodzi nader skromne. Mimo tego w szkole ogólnokrajowej jesteśmy na trzeciej pozycji za Warszawą i Śląskiem pod względem ilości klubów, zaś w wyczynie zajmujemy w kraju 6-7 lokatę. I tu właśnie dochodzimy do dysproporcji rzucającej się w oczy.

Nie potrafiliśmy kontynuować dobrej tradycji łódzkiej szermierki sortem lat, głównie z tego powodu, że nie mamy odpowiednich warunków do pracy szkoleniowej, zwłaszcza wśród uczących się młodzieży. Tam właśnie jest kuznia obiecujących talentów. Nie ma więc żadnych wahań co do tego, że zamiar utworzenia ośrodka szkoleniowego w Łodzi przez ŁOZS jest koniecznością. Bez tej placówki kadra instruktorska jako obecnie nie dysponuje szermierką łódzką nie wydzwignie jej z impasu w jakim się znalazła.

Łódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki widząc te trudności, rozpoczął poszukiwanie odpowiedniej sali która po adaptacji kosztów około 1 miliona złotych mogłaby służyć temu celowi. Ze względu na swe centralne położenie zwrócono uwagę na aulę w gmachu szkolnym przy al. Kościuszki 65. Aula ta odpowiada warunkom ze względu na swoje rozmiary, a po przeróbkach pozwoliłaby na uruchomienie w niej ośrodka szermierzczego. Oniś tam właśnie AZS prowadził treningi swoich szermierzy. Tam też uczęszczało na zajęcia wielu uczniów i uczennic liceów mieszczących się w tym gmachu. Napływ młodzieży na treningi był masowy. Starania prezesa ŁOZS i przewodniczącego ŁKKFNT by otrzymać tę salę na ośrodek szermierzczy, nie dały jak dotąd rezultatu. Oświadczone im bowiem, że sala ta zajęta jest m. innymi na próby chóru nauzyckiego i zebrania komitetów rodzicielskich oraz na inne ważne narady.

Wacław Zatkę indagowany przez nas w omawianej

sprawie powiedział, że jego zdaniem aula szkolna w gmachu przy al. Kościuszki 65 nie jest właściwie wykorzystywana. Jej położenie w centrum miasta, gdzie w najbliższych latach nie będzie się budowało nowych gmachów szkolnych, jest idealne dla prowadzenia nowoczesnego ośrodka szermierzczego, w którym można by także szkolić młodzież z dwóch liceów VII i X. Fundusze na adaptację są zapewnione i stałaby się krzywdą dla uczącej się młodzieży śródmieścia Łodzi, gdyby tej szansy nie wykorzystano. Przewodniczący ŁKKFNT dziwi się, że dyrektor X LO Karol Wierucki, który administruje całym budynkiem, nie chce się zgodzić na te propozycje. Chyba nie ma drugiego w Polsce dyrektora liceum — oświadczył nam W. Zatkę, któremu proponowano by zainwestowanie 1 miliona złotych w aulę gmachu szkolnego, a ten propozycję taką by odrzucił. Dłżwny i niezrozumiały jest dla mnie upór z jakim władze szkolne walczą o tę aulę...

Kurator łódzki, z którym konferowaliśmy również na ten temat, jest zdania, że jeżeli uruchomienie ośrodka szermierzczego w gmachu przy al. Kościuszki 65 nie będzie kolidowało z zajęciami szkół i nie naruszy interesów dwóch liceów tam się znajdujących — popiera w całej rozciągłości te propozycje.

Aula, o którą toczy się bój — jak już wspomniano — rządził dyr. K. Wierucki. Wzyta, jaka złożył mi w obecności przedstawicieli Kuratorium i Inspektora Oświaty z DRN Śródmieście — nie był zachwycony. Po zorientowaniu się w czym rzecz oświadczył krótko: ja tego nie chcę w moim gmachu. Mamy tu już tyle instytucji, tyle klubów i sekcji, które trenują na sali gimnastycznej, że jeszcze na dodatek ośrodek szermierzczy to absolutnie za wiele...

Trzeba bezstronnie przyznać, że dyr. K. Wierucki ma z olbrzymim gmachem, którym administruje, wiele kłopotów. Zalecia kończą się tu codziennie około godz. 22. Przez szkołę przewijała się dziennie dziesiątki osób obcych. Sa więc poważne troski różnego rodzaju, które zaprzętaja czas dyrektora liceum. Naszym zdaniem nie on, a administrator powinien zajmo-

wać się zarządzaniem dużego obiektu, bo albo K. Wierucki będzie dobrym dyrektorem liceum, a nie poradzi sobie z zarządzaniem tak wielkiego budynku, albo wzorowo wywiąże się z tej ostatniej funkcji, zaś na obowiązki związane ze stanowiskiem dyrektora liceum czasu mu nie starczy. Sa to jednak sprawy leżące w kompetencji Kuratorium i nie mamy zamiaru w nie ingerować.

W tej skomplikowanej sytuacji, by porozdzić interes dwóch szkół z korzyściami jakie ma odnieść szermierka, drugiego co do wielkości miasta w kraju, należy rozważyć przez kompetentne czynniki a więc przez Kuratorium, WKFFIT oraz ŁOZS następujące problemy:

■ Ustalić ponad wszelką wątpliwość, że aula o wymiarach jakich nie posiada inna sala tego typu w śródmieściu, jest wykorzystywana na zalecia czy zebrania, które z powodzeniem można by odbywać gdzie indziej (próby chóru dla przykładu nie muszą być przeprowadzane w tak dużej sali).

■ Władze sportowe ogranicza treninż na sali gimnastycznej znajdujacej się pod aulą klubów i sekcji szkolnych do takich rozmiarów, by mogła z niej korzystać młodzież obu liceów oraz instytucje, które zajmują w pewnych okresach aulę.

■ Z chwilą uruchomienia (po odpowiedniej adaptacji auli) ośrodka szermierzczego zapewnić środki finansowe na jego administrację pod egidą dyrektora X LO w niczym nie umniejszając jego kompetencji.

■ Uzgodnić okoliczności, w których z auli już do tej przy stosowaniu na ośrodek, mogły by korzystać instytucje i stowarzyszenia na odczyty, zebrania czy spotkania. Nie wyklucza się nawet możliwości odbywania prób chóru nauzyckiego w wolnych godzinach itp.

Jestem przekonany, że nie wolno nikomu zaprzepaścić tak wielkiej szansy jaka jest zainwestowanie poważnej kwoty finansowej w placówkę, która przyniesie niewątpliwie olbrzymie korzyści sportowi łódzkiemu — konkretnie szermierce. Nikogo nie trzeba przekonywać, gdyż byłoby to truizmem, jak bardzo zależy wszystkim działaczom sportowym na rozwijaniu i krzewieniu kultury fizycznej wśród młodzieży szkolnej. Taka

ZASŁYSZANE HISTORIE STAREJ I NOWEJ ŁODZI



Wyzwolenie panny Rózi

Onego czasu, a było to niecałe sto pięćdziesiąt lat temu, tam, gdzie biegał trakt nowomiejski od ogrodów mieszczan łódzkich, tuż obok słynnej wylegarni pijaków „Pod Łódzką Płotką” — przysiadł sobie parterowy domek sukienników śląskich, podobno rodziny pana webermistrza Gabryszka. Do dziś chałupka ta ocalała wokół wielu szarych trzępietrowych czynszówek.

Pan majster Gabryszek rodem z Bielska — wygodnie, a przemyślnie się tu urządził. Z jednej strony sieni przestawowej pomieszczył kilka drewnianych, ręcznych warsztatów tkackich ze Śląska ślączyńskich, z drugiej ten sakramentki pierun — szlafcymer i komory na sukno wyrzutował. W dachu wybił dziurę na okno dla uczniów, a obok w mansardzie okazał szubę dla kilku czeladników przysposobil. Zawsze to z dala od jego sławnej dzielnicy, cory, co się zwała Panną Rózią, no i z dala od pani majstrowej, kwitnacej jeszcze z konieczności ukochanej. Zapewne nie znalazł jeszcze na podziale klasowym, ale zawsze wolał się od tej bidoty łódzkiej odseparować.

Az tu któregoś niedzieli, do pięknej panny Rozalii, jak fama głosi, zapalał całym sercem starszy, wasaty już czeladnik Pan Ignacy. Rozsierdziło to do białości pana majstra. I żeby to pospólstwo odgródzić ostatecznie, gdy poeciengiel nie pomógł — wybudował do facjatki na piętro samodzielny wykusz schodkowy — od strony podwórca, zamurując dawne wejście wprost z komory! Na miłość wzajemną dwu młodych serc nie masz jednak lekarstwa... Pan Ignacy na spotkaniu ukradkowym, gdzieś nad starą strugą łódzką rzeki do swej lubej: — ja cie wyzwolę z ojca niewoli, o skarbie ty mój!... Pewnej soboty po fajeranku, pan Ignacy spakował swoje manatki i piaszcz okrytych i czmychnął z panną Rózią hen w siną dal. Właściwie to niebyst daleko, bo — do nowo rzechtującej się osady przadków pod patronat Rembelskiego. Osadę nazwano Ślaziaki, a trochę później z niemiecką Ślęziąngiem. Osada ta powstawała w nowej, południowej dzielnicy Łodzi, przewanej od Łodzi — Łódka. Czeladnik był obrotowy — wnet dostał ziemię, gdyż zameldował się jako przybysz z zagranicy, do tego spora polana leśna w wietrzysie posiadanie, wykazał się umiejętnością fabrykowania tkanin, przed komisją województwa, a Rózia potrafiła praść. Obiecano im budulec za darmo i większą pożyczkę i wkrótce sami zostali majstrami...

Gabryszek zaś, pierunnie, pobłogosławił z czasem tym pierwszym uciekinierom z miłości w mieście Łodzi, zwłaszcza, że Ignacy pchał się już między pierwsze fabrykanty.

OPWIADA — ZDZISŁAW KONICKI
RYSUJE — WACŁAW KONDER

właśnie możliwość otwiera się przed uczniami i uczennicami VII i X LO. Nie wytrzymująa krywki propozycji, dlaczego ośrodek tego nie może na urządzić na peryferiach, gdzie sa przecież w nowych gmachach szkolnych duże sa le gimnastyczne, a właśnie robi się zamach na aulę w budynku przy al. Kościuszki 65.

Praktyka dowiodła tego niezbicie, że decydującym argumentem przy uruchomieniu tego typu placówek jest ich sytuowanie właśnie w centrum miasta.

I chyba ostatnim argumentem przemawiającym za tym właśnie punktem jest fakt, że w budynku gdzie ongiś hakała hilerowska ucznia nienawieści do wszystkiego co polskie, niech obecnie blyszczą nasze stalowe kliny, niech uczą się władania białą bronią następcy Wołodyjowskiego — dzieci łódzkiej włókniarzy.



Lewym okiem

ZABAWA NA STO DWA

Wiadomo, że w okresie Świąt i Nowego Roku ludzie składają sobie życzenia i przynajmniej paroma słowami zawiadamiają wszystkich swych krewnych, znajomych i przyjaciół, że pamiętają o nich, ściskają i całują. Dla radości uczynienia tej powszechnej, na starej tradycji opartej potrzebie, „Ruch” wydaje kolorowe pocztówki, o treści maksymalnie infantylnej — a więc różne bałwanki, pajacyki, misie, małpki i diabełki. Pocztówki rysowane są przez prawdziwych artystów, więc misie i bałwanki mają postury odpowiednio zdeformowane, żeby nie przypominały fotografii. Trudno zresztą o fotografie diabełki pod rękę z biedronką, to można tylko wymyślić.

Wracając do tematu: „Ruch” wydaje dziesiątki tysięcy pocztówek i stara się je rozprzedać, a pocztą poprzez ogłoszenia w prasie uprasza o ograniczenie zakupów i niewysyłanie kart, bo i tak nie dojdą. Rzeczywiście, zdarza się, że nie dochodzą, zwłaszcza te wysłane wcześniej, zgodnie z życzeniem pocztą.

Kiedy indziej bywa odwrotnie: nagle zaprasza się wszystkich razem i każdego z osobna, żeby

pisać, cokolwiek i do kogokolwiek. Jest to tak zwany tydzień pisania listów, którego genezy nikt nawet nie próbuje zrozumieć. Piszcie listy! Piszcie, ile wlezie! — nawołuje się wtedy młodzież, a nawet zatrzymuje ją się po lekcjach i nie wypuszcza, dopóki każdy uczeń nie wyrobi odpowiedniej normy. Czy chodzi przy tym o nadrobienie planów finansowych pocztą poprzez zwiększoną sprzedaż znaczków, czy też o społeczną ideę wdrażania ludziom poczucia powszechnej łączności i wspólnoty — nie wiadomo.

Pomiędzy tymi biegunowymi, szczytowymi okresami uważamy pocztę za instytucję najwyższej użyteczności publicznej, niezbędną jak woda, pomocną na co dzień, bliską, żeby nie powiedzieć: kochaną. (Trochę z tego sentymentu ubywa, gdy musimy się pofatygować do urzędu pocztowego, stanąć potulnie w kolejce i doświadczyć — niestety — wszystkich wątpliwych przyjemności obcowania właśnie z urzędem, z urzędnikiem, z urzędowym stylem pracy). Bywa też jednak, że robimy z owej instytucji balona, gwoli zabawieniu grupki znużonych życiem emokierów.

Przed paroma laty redakcja „Dookoła Świata” zainicjowała świetną zabawę, tak świetną, że obecnie powtórzyła ją redakcja wschodnoniemieckiego tygodnika „Freie Welt”. Oto pisze się bile co, parę dyktoskopiów, nie obowiązujących pytań, zakleja w kopercie i wysyła. Bez adresu nadawcy i z możliwie najdziwniejszym sformulowanym oznaczeniem adresata. Na przykład: Ludwik Beethoven, Węgry. Albo Najlepsza Sprzedawczyni Domu Towarowego GUM w Moskwie. Albo Szan. Pan Warszawa 1964. Albo Don Kichot, Hiszpania. I już. I czekamy, co z tego wyniknie, oczywiście nie zapomniawszy podać naszego adresu wewnątrz koperty. Kto też się odezwie?

Jak wspomnieliśmy, redaktorzy zainicjowali tylko tę zabawę, sami wysłali zaledwie setkę dziwnych listów bez adresu, czytelnicy natomiast zo-

stali natchnieni świetnym pomysłem i prawdopodobnie nie omisszali z niego skorzystać. Ambicją i szlachetnym obyczajem wszystkich urzędów pocztowych świata jest — nie otwierać listu, doręczyć go za wszelką cenę, znaleźć adresata. Krąży więc dziesiątki czy setki dowcipnych kopert z miasta do miasta, głowią się nad nimi dziesiątki poważnych ludzi, dla których te koperty nie są przecież żadnym dowcipem, nie zachaczą absolutnie o poczucie humoru, są dodatkową pracą, szaradą, trudnością. W ostatecznym rachunku koszty dowcipnego pomysłu redaktorów ponoszą wyłącznie pocztowcy, w dodatku po to, żeby samemu narazić się na uśmiechki po zdemaskowaniu mistyfikacji. Bycza zabawa!

Nie mówię, że przypomina cokolwiek znaną frajdę: nacisnąć dzwonek, uciec i z daleka patrzeć na minę tego, co otworzy drzwi. Nie namawiam nikogo, żeby dla draki wezwał Straż Pożarną na przykład do ugaszenia najbrzydszego domu w dzielnicy, w której mieszka najpiękniejsza studentka architektury. Można by przecież wymyślić taką zabawę, gwoli zbadaniu, jak sobie radzą strażacy z podchwytliwymi pytaniami redaktorów. Przyjda, czy nie przyjda? Mimo wszystko wierzę, że ten typ zabawy nie przybierze form masowych i skończy się jednym ciągniętym na siłę artykułem w numerze świątecznym tygodnika. Gdyby miał przybrać — trzeba by było chyba uruchomić jakieś paragrafy, może te o świadomym wprowadzaniu w błąd urzędu, mającego i tak dość roboty, pracującego dla wszystkich. A tylko na marginesie ciśnie mi się pod pióro pytanie: do kogo też trafiłyby listy, zadresowane tak: „Do P.T. Najwybitniejszego członka Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich”...?

Ot i burza gotowa. Panowie, adresujcie dokład-

nie!

CWIEK